

W. L. G. & S. L. G.

W. L. G. & S. L. G.

100

W. L. G. & S. L. G.

B. N.



PISMA JOZEFA IG. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE NOWE, USKUTECZNIONE POD OKIEM AUTORA, POPRAWIONE I POMNOŻONE.

Z RYCINAMI HENRYKA PILLATEGO.

CAŁE ŻYCIE BIEDNA.

Cena kop. sr. 45.



w PRAGOWI J. MINHEYMER.

WARSZAWA.

NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA.

1858.

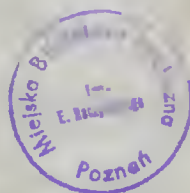
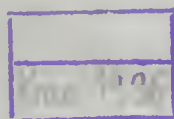
LITVA

JOSEF A. KRAJČENSKÝ

PROFESOR V KRAJČENSKÝ

JOSEF A. KRAJČENSKÝ

18. 12. 1979



300.-

1979 J 280

NOWOŚCI LITERACKIE

ZNAJDUJĄCE SIĘ W KSIĘGARNI

HENRYKA NATANSONA

W WARSZAWIE.

Andersena, H. C. Tylko Grajek. Powieść przez H. C. Andersena z oryginału duńskiego przełożył F. H. Lewestam. 2 tomy. 16-ka. Warszawa. 1858. Rsr. 1 kop. 80.

Biblioteka Lwowska. Serya I. Zeszyt 1 — 50. Zeszyt 1-szy zawiera: Odsiecz Wiednia. Obraz historyczny w 5-cin oddziałach, przez Kazimierza Sadowskiego. Zeszyt II-gi i III-ci Obłężenie i zburzenie Jerozolimy, według opisu Józefa Flawiusza. Zeszyt IV-ty i V-ty: Pamiętniki Jana Chryzostoma na Gosławicach Paska, deputata z powiatu Lelowskiego na kolo rycerskie, a pierwój towarzysza pancernego, z czasów panowania Jana Kazimierza, Michala Korybuta Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego (1656—1688); z prenumeratą na 11-ście zeszytów. 8-ka. Lwów. 1856—1857. Rsr. 3 kop. 50.

Biblioteka Podróży i malowniczo-historycznych opisów różnych krajów, wydawana przez Adama Zawadzkiego. Serya pierwsza. Nowe światy, przez p. Niboyet. 12-ka. Wilno. 1857. Rsr. 1 kop. 20.

Bouchut E. Nouveaux-Éléments de pathologie générale et de Séméiologie. Illustrés de figures d'Anatomie pathologique générale intercalées dans le texte in 8-vo. Paris. 1857. Rsr. 3 kop. 70.

Chodźko Ignacy. Dwie konwersacje z przeszłości. 12-ka. Wilno. 1857. Rsr. 1 kop. 35.

Czarkowski Piotr. Mównictwo, czyli poczęcie się i pierwotny rozwój mowy Bohów Sławian naszych praojców. Krótko po prostu i dowodnie wyłożył Piotr Czarkowski, nauczyciel prywatny w Warszawie. 16-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1.

Demme Hermann. Über die Veränderungen der Gewebe durch Brand. (Inhalt einer von der medizinischen Fakultät der Universität Bern im Juni 1856 gekrönten Preisschrift und Resultate späterer Untersuchungen des Verfassers). Ein Beitrag zur pathologischen Histologie. Nebst 24 originalabildungen auf zwei Tafeln in Stahlstich von Hermann Demme in Berlin. 8-vo. Frankfurt a M. 1857. Rsr. 2.

Deronville X. A. O naśladowaniu Najświętszej Maryi Panny na wzór naśladowania Jezusa Chrystusa. Książ IV. (Wydanie drugie poprawne). 18-ka. Warszawa. 1857. Kop. 37½.

Fenchtersleben (Baron E. de). Hygiena duszy, przełożył z wydania 18-go Ang. Thngutt, 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 90.

Fotografia, czyli zbiór środków używanych do zdejmowania obrazów za pomocą światła, na papierze lub na szkłe, ułożony do praktycznego zastosowania, podług dzieł hrabiego de la Sor i Texier, le Graya i Brébissona, przez M. S. 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 50.

Galerya Nieswieżska portretów Radziwiłłowskich. Opisana historycznie przez Edwarda Kotlubaja. Z drzeworytami Michala Starkmana, zeszyt I, II z prenumeratą na sześć zeszytów. Wielka 8-ka. Wilno. 1857. Rsr. 7 kop. 50.

Grandville J. J. Sto Bajek podług Lafontaine z 100 obrazkami. Zebrane z różnych tłumaczeń, przez J. N. Bobrowicza. 8-ka. Lipsk. 1840. Rsr. 4.

Groza Alexander. Trzy palmy. (Powieść ze Wschodu). 18-ka. Wilno. 1857. Kop. 40.

Hofmanowój (Klement.) Pisma. Tom I. zawiera: Wiązanie Helenki część I-sza i II-ga Powieści male, Rozmowy i Komedyjki. Powieści z Pisma świętego przez autorkę Pamiętki po dobrej Matce. 16-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1 kop. 50.

— Tom II-gi: Święte Niewiasty, obrazki pobożne, kobietom żyjącym w świecie ofiarowane przez Klementynę z Tańskich Hofmanowój. 16-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1 k. 50.

— Tom III-ci: Karolina. Powieść. 16-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1 kop. 50.

Holowiński Ignacy. Kazania Niedzielne, Świętalne i przygodne, oraz Allokucyje miane w Petersburgu, przez ś. p. księdza Ignacego Holowińskiego, Najprzewielebniej-szego Arcybiskupa Mohylewskiego, Metropolity wszech Rzymsko-katolickich Kościołów w Cesarstwie Rossyjskiem. Wydanie pośmiertne. 16-ka. Kraków. 1857. Rsr. 2.

— Toż samo na papierze welinowym. Rsr. 3.

Horain (Julian). Chwile stracone. 12-ka. Wilno. 1857. Kop. 75.

Hymny kościelne. Przełożył z łacińskiego Ignacy Holowiński Arcybiskup Mohylewski, Metropolita wszech Rzymsko-katolickich Kościołów w Cesarstwie Rossyjskiem. Wydanie pośmiertne. 16-ka. Kraków. Rsr. 2 k. 40.

Jachowicz Stanisław. Ćwiczenia pobożne dla dzieci rozwijające myśl (z ryciną). 12-ka. Warszawa. 1857. Kop. 30.

Jahr Dr. G. H. G. Principes et Règles qui doivent guider dans la pratique de l'homeopathie exposition raisonnée des points essentiels de la doctrine médicale de Hahnemann. 8-vo. Paris. 1857. Rsr. 2 kop. 40.

Janowicz Andrzej. Jedynak, powieść. 12-ka. Kijów. 1856. Kop. 90.

Jezierski Michał. Powieści, Tom I: Złota tabakiera. Powieść obyczajowa. Tom II: Ekonomowa. Powiastka. 12-ka. Kijów. 1857. Rsr. 2.

Kaczkowski Zygmunt. Bajronista. Powieść współczesna. 3 tomy. 12-ka. Wilno. 1857. Rsr. 4 kop. 50.

— Starosta Holobucki. Powieść z czasów Stanisława Augusta, podług opowiadania Jmć Pana Nieczni, spisana przez Zygmunta Kaczkowskiego. 3 tomy. 12 ka. 1857. Rsr. 3 kop. 60.

Karsten Dr. C. J. B. Solnictwo, czyli nauka o wyrobie soli kuchennój. Przełożone z niemieckiego, dwie części. 12-ka. Warszawa. 1856. Rsr. 6 kop. 75.

Katechizm zawierający krótki wykład artykułów św. wiary rzymsko-katolickiej, wydał X. Marcin Tylkowski, Penitencjarz Kolegiaty świętej Anny. 16-ka. Kraków. 1856. Kop. 15.

Klejnoty poezji polskiej, wybrane z dzieł najznakomitszych dawnych i nowoczesnych poetów, poczet I-szy. 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 15.

— Toż samo poczet II-gi. 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 20.

— Toż samo poczet III-ci. 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 20.

Korzeniowski J. Cyganie. Dramat w pięciu aktach wierszem. 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 75.

- Horzeniowski J.** Krewni. Powieść. 12-ka. Wilno. 1857. Rsr. 5.
- Reputacya w miasteczku. Komedia w trzech aktach. 12-ka. Warszawa. 1857. Kop. 75.
- Kraszewski J. I.** Podróż do miasteczka, powieść (z dodaniem kilku pomniejszych). 12-ka. Warsz. 1858. Kop. 90.
- Kucharz polski jaki być powinien.** Książka podręczna dla ekonomiecznie - troskliwych gospodyń, przez Bronisławę L.....ską. 8-ka. Warszawa. 1856. Rsr. 1 kop. 80.
- Lelewel Joachim.** Część batwochwaleza Sławian i Polski. 8-ka. Poznań. 1857. Rsr. 1 kop. 50.
- Drzwi kościelne Płockie i Gnieźnieńskie z lat 1133, 1155. 8-ka. Poznań. 1857. Kop. 50.
 - Grobowe królów Polskich pomniki. 8-ka. Poznań. 1857. Kop. 50.
 - Pojedynki w Polsce. 8-ka. Poznań. 1857. Kop. 40.
- Lipnicki X. A.** Książeczka do nabożeństwa świętej Jadwigi. Nowo wydana. 16-ka. Wilno. 1856. Kop. 25.
- Toż samo na papierze zwyczajnym. Kop. 15.
 - Życie świętej Jadwigi małżonki Henryka Brodatego, władcy na Wrocławiu i Ślązku, nważane z pięciu stanowisk chrześcijańskiej niewiasty, jako dziewicy, żony, matki, pani domu i wdowy. 16-ka. Wilno. 1856. Rsr. 1 kop. 20.
- Longfellow Henryk.** Złota legenda, Ewangelina. Powieść z dziejów Anglo-Amerykańskich. 8-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1.
- Macheżyński Edward, Stefan.** Han-Akmet, powieść Kaukazka. Janczar. 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 60.
- Toż samo na papierze welinowym. Kop. 75.
- Majera (Dra J.).** Fiziologia zmysłów wyłożona. 8-ka. Kraków. 1857. Rsr. 4 kop. 50.
- Natanson Jakób.** Krótki rys chemii organicznej ze szczególnym względem na rolnictwo, technologię i medycynę, część I-sza. 8-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1 kop. 20.
- Natanson.** Wybór przekładów z wzorowych pisarzy zagranicznych. Tom XXV i XXVI. Helena Middleton. Powieść napisana przez Lady Georginę Fullerton, przetłumaczyła Paulina z L. Wilkońska. 2 tomy. 16-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1 kop. 50.
- O naśladowaniu JEZUSA CHRYSZTUSA,** xiąg czworo, z łacińskiego przetłumaczył X. A. J. Nowe wydanie. 16-ka. Berlin. 1857. Kop. 60.
- Toż samo na pap. wel. z rycinami na stali. Rsr. 1 k. 60.
- Pruszkowa (Seweryna z Żochowskich).** Obrazki dramatyczne. 12-ka. Warszawa. 1857. Kop. 75.
- Rościszewska Paulina.** Kilka słów do mojego syna. 12-ka. Kalisz. 1857. Rsr. 1.
- Sobieszczański F. M.** Przewodnik po Warszawie z planem miasta, ozdobionym 10-cią rycinami na stali. 16-ka. Warszawa. 1857. Kop. 50.
- Guide de l'Etranger à Varsovie. Avec un plan de la Ville orné de dix vues gravées sur acier. 16-ka. Varsovie. 1857. Kop. 45.
 - Fremdenführer in Warschau mit einem plane der Stadt und 10 in stahl gestochenen ansichten von F. M. Sobieszczański. 16-ka. Warschan. 1857. Kop. 45.
- Teka** Gabriela Junoszy Podoskiego Arcybiskupa gnieźnieńskiego, wydana przez Kazimierza Jarochońskiego. Tom IV-ty. 16-ka. Poznań. 1856. Rsr. 4 kop. 80.
- Torosiewicz Teodor.** Łatwy sposób rozpoznawania ziemi ornę aby ją ulepszyć, wraz z niektórymi uwagami nad uprawą roli. 8-ka. Lwów. 1856. Kop. 40.
- Tripliu Dr. T.** Najnowsza podróż po Danii, Norwegii i Szwajcaryi. 2 tomy. 12 ka. Wilno. 1857. Rsr. 2 k. 50.
- Powrót z pod Berezyny. Opowiadanie ś. p. Antoniego hr. Lanckorońskiego. 12-ka. Wilno. 1857. Rsr. 1 k. 35.
- Vigny (Alfred de)** Czatterton, dramat. Powiedziany po polsku przez Apolla Korzeniowskiego. 8-ka. Kijów. 1857. Rsr. 1 kop. 50.
- Vocabularium latinum** ku tworzeniu zdań, według związku wyobrażeń ułożone. Spolszczył Dr Leopold Köhler. Część I-sza na klasę IV i V. 12-ka. Poznań. 1857. Kop. 30.
- Waga Teodor.** Historia królów i książąt polskich, krótko zebrana dla lepszego użytku, wydaniem wileńskim 1824 znacznie przerobiona i pomnożona. 8-ka. Poznań. 1857. Rsr. 2.
- Wielogłowski Walery.** Obrazki z obyczajów domownictwa wiejskiego. 16 ka. Kraków. 1857. Kop. 40.
- Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego. Wydanie trzecie. Sześć obrazków razem zebranych (Leniwy Bartek, Kuba jarniarczy, Franek pijanica, Wsiowi złodzieje, Grzeczni rodzice, Występne dzieci i Narada Gromadzka). 16-ka. Kraków. 1857. Kop. 80.
 - Podarek dla grzecznych dzieci, ozdobiony 24 obrazkami kolorowanymi. 16-ka. Kraków. 1856. Rsr. 1 kop. 20.
 - Toż samo poprawny w angielskie płócienko i złocone brzegi. Rsr. 1 kop. 60.
 - Żywoć Najświętszej Panny Matki Zbawiciela. 16-ka. Kraków. 1856. Kop. 50.
- Wieniarski Antoni.** Warszawa i Warszawianie, szkice towarzyskie i obyczajowe. Serya I-sza. 2 tomy. 16-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1 kop. 80.
- Warszawiaci i Ilreczkosieje, komedia w 3-eh aktach ze śpiewkami. (Przedstawiona na Warszawskim Teatrze Rozmaitości w r. 1857). 18-ka. Warszawa. 1857. Kop. 50.
- Witwickiego Stefana** Poezye. 32-ka. Petersburg. 1853. oprawne w płócienko angielskie. Rsr. 1 kop. 50.
- Wójcicki Kazimierz Władysław.** Kurpie, powieść historyczna. Wydanie nowe uzupełnione w 2-eh tomach. 12-ka. Lwów. 1856. Kop. 80.
- Wolskiego (Jacka).** Materyały do sztucznych nawozów, przedstawiane na wystawie publicznej w Warszawie 1857 roku, oraz sposoby robienia pudretów. 8-ka. Warszawa. 1857. Kop. 35.
- Wiązanie Helenki.** Część I-sza i II-ga. Powieści małe, rozmowy i komedijki. Powieści z Pisma świętego przez autorkę Pamiętki po dobrej matce. 16-ka. Warszawa. 1857. Rsr. 1 kop. 50.
- Wyjątki** z dzieł pobożnych przepolszczonych przez Eleonorę z Paprockich Szemiotową, na ciałę Boga i dobro bliźnich. 12-ka. Warszawa. 1856. Kop. 50.
- Zabierzowski Alexander.** Praktyczne budownictwo wiejskie, zbiór planów na budowlę wiejskie w rozmaitych rozmiarach a mianowicie: domy mieszkalne tak zwane dwory, ozdoby architektoniczne ogrodów, jakoteż altany, ogrodowizna, mostki i t. p. Oficyny dla służby, domy włościańskie, zabudowania dla kolonistów, gorzelnie, karczmy, spichrze, stodoły, obory, owczarnie, kościoły, kaplice i t. p. Zeszyt 1—9 z prenumeratą na 1—12-tu folio. Radom i Warszawa. 1856—1857. Rsr. 15.
- Zaborowski Julian.** Początki planimetrii, ułożone dla szkół na wzór niemieckiej książki; przez L. Kambly, profesora przy gimnazjum św. Elżbiety w Wrocławiu (z 135-in figurami wśród tekstu umieszczonemi). 8-ka. Poznań. 1857. Kop. 80.
- Zieleniewski Michał.** Dr. Med. Wody lekarskie Szczawnickie. 8-ka. Kraków. 1852. Kop. 60.
- Źródłopismo** do dziejów Unii Kor. Polskiej i W. X. Litewskiego. Część III. Dziennik lubelskiego sejmu Unii, Rok 1569. Drukiem ogłosił A. T. hr. z Kościeleca wojewódzie Działyński. 4-ka. Poznań. 1856. Rsr. 7 kop. 20.

CAŁE ŻYCIE BIEDNA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

SŁÓWKO AUTORA.

Odczytując dziś tę powieść, możemy gotowi zgodzić się na zdanie recenzenta, (p. K. Podwysockiego), który sprawozdanie o niej zakończył pytaniem: czy warto się jęj było rodzić? A jednak tę próbę, która na dwa wydania w krótkim przeciągu zasłużyła, umieszczamy w nowym zbiorze z pokorą, z uśmiechem: — jako miłą pamiątkę młodszych czasów. Była to jedna z pierwszych powieści naszych, wydanych w zbiorze szkiców Zawadzkiego; grzechem jęj może zbyt wiernie odтворzona rzeczywistość, charakter y zarysowane jaskrawo, a jedyna Anna aureolą swojego nie-szczęścia nie może posępnego obra-

zu rozjaśnić. Zbudowaliśmy ją na jakimś opowiadaniu rzeczywistego wypadku, ale postacie są nasze, aż do zbytku rażąco i przykro pospolite. Kto świat widział z różnych stron jego, nie zaprzeczy, że ludzi w nim takich bywało dosyć, że i podkomorzyny i Bałabanowicze się trafiali, i p. Mateusz *mutatis mutandis* chodził u nas po świecie, i taki sędzia, nie gorzki, nie słodki, często się nastroczał. Może jednak wybrane typy zbyt są wyraziste, i wadę tę uznając



w PRACOWNI J. KRAKOWSKIEGO.

cia niwellująca, nic nie zostawia, za coby pochwycić, z czego ją odmalować można. Wszyscyśmy do siebie podobni jak dwie krople wody, i zaprawdę — nie ciekaw; trzeba się trochę wdrzeć w człowieka, żeby dobrać różnie i piętn ukrytych. Powieść nasza jest pozostałością czasów, w których nie tak się jeszcze poprzebieżeli ludzie, za modne, z dziennika paryzkiego figurki.

Żyтомierz, dnia 18 września, 1856 roku.

sami, prosimy o pobłażanie. Maluczki ten wizerunek wiejski, z dobitności kilku charakterów jakąś wartość mieć może. Jakkolwiek niewiele upłynęło czasu od napisania tej powieści, postrzegamy sami że wielka zaszła zmiana w obyczajach naszych i zewnętrznym objawie życia. Dziś mniej mamy tych excentrycznie nacechowanych fizyonomii: wszystko się jakoś zatartło, wygładziło, stało przyzwoitszym i nie tak bijącym w oczy. Dla malarza i powieściopisarza trudność tém większa w pochwyceniu jednostajnego na pozór oblicza społeczności. Zarzucają powszechnie nową szkołę, że zuchwale sięga do głębi duszy i tłumaczy człowieka; ale cóż ma począć, gdy ta cywiliza-

II.

DOM PANI PODKOMORZYNEJ.

Wśród rozległej równiny, którą gaje brzoź i sosny zamykały w oddaleniu, wznosił się stary, wysoki dom drewniany, otoczony obszernym sadem i zabudowaniami gospodarskimi. Do niego wiodła droga wysadzana starymi lipami, wśród których bielala kaplica św. Jana Nepomucena u źródła. Dziedziniec był obszerny i przetrzymany kilkakroć ścieżkami wydeptanymi od kuchni do tak zwanego pałacu, do oficyn i stajen. Stary dom, który tak pompatycznie pałacem nazywała czeladź i chłopcy, była to budowa wysoka, z wyniosłym dachem nastrzępionym kominami, z oknami wielkimi, z gankiem wspartym na czterech drewnianych kolumnach. Z jednej strony czystsze szyby w oknach, biegnące z za nich firanki i gdzieś tam przegładające wazon z kwiatami, dowodziły, że to była strona pańska, pokoje bawialne; z drugiej mniejsze i w części potłuczone szyby, pozasłaniane bielizną rozwieszoną i pozaklejane papierem, tłumaczyły, że tu były izby kobiet służących i czeladzi dworskiej. Przed domem siadła grzęda kwiatów pożyłkłych, otoczona splecionym z gałęzi brzoźowych koszem. Stara jedynaczka topola wznosiła się jeszcze pod oknami, z jednej strony już uschła i niedaleka losu swoich siostr, których tylko pnie suche w tej samej linii pod oknami sterczały. Na ganku stary mops posiadywał na usługach domu, siedział poważnie i patrzył w lipową aleję. Koło stajen, przy wyciągniętej starej karecie, pracowało kilku ludzi. Pod oficyną prano bieliznę, a pod kuchnią rozmawiało kilku ludzi dworskich.

Cicho było i poważnie wokoło tego domu, którego staroświecka fizyognomia i stare otaczające go drzewa, dowodziły w mieszkańcach spokojnego gustu i przywiązania do tej siedziby. Wszystko, co się działo dokoła, miało pozór rzeczy zwyczajnych, koniecznych, odbywających się nałogowie. Każdy z ludzi był na swoim miejscu, przy swoim zatrudnieniu: mops nawet używał świeżego powietrza z przekonania o potrzebie i z nałogu, nie z żadnej przypadkowej fantazyi: była to jego gankowa godzina. Wszedłszy wewnątrz domu, dawała się czuć ta sama spokojność, ten sam odwieczny porządek: każdy przedmiot godził się z drugim jakby z niego wyniknął i z nim razem był stworzony; nie było nic nowego, i nie uderzającego, nic dodanego. W sieniach stare świecące od wycierania ławy i skrzynie, stary zegar z kulkawką gdańską bez ustanku, na ścianach zapyłone wieńce kilkoletnich dożynek. U drzwi wiodących do sali na lewo, leżała słomianka do otarcia nóg. W oknie śpiewały w klatce kanarki.

W sali znowu ten sam porządek odwieczny. Przez całą jej długość leżało płótno zabezpieczające starą niegdy woskowaną posadzkę od szwanku. Na niebiesko malowanej ścianie wisiało zwierciadło w ramach drewnianych z bronzami i dwa portrety mężczyzny w peruce i kobiety z różą w ręku z muszkami, w rogówce. Pod nimi stała kanapa obciążona nawleczką i widocznie w niektórych miejscach wysiedziana; przed nią uporządkowane dokoła stolika krzesła w pokrowcach także, które tylko od święta zdejmowano. Na komi-

nie był osadzisty zegar niegdyś brązowy, a dziś do niepoznania czerniały, ozdobny w kwiaty, zwierzęta, wiszące medaliony i t. p. Obok niego porcelanowe figurki pasterek i pastérzy arkiadyjskich stały i siedziały otoczone skamieniałościami, gruszkami, kamieniami, śliniakami, i konchy zamorskimi. Ekran stary i wypłowiały zasłaniał kominek, którego strzegły w zupełnym komplecie, wyprostowane stojąc: mieszek, łopata, szczypce i kruczek. Przy ścianach stały w największym porządku krzeselka, gdzieś tam stolik od roboty, okryty sukrem. Okna otaczały firanki haftowane, dość żółkłe, ale starannie zawieszzone. Boczne ściany okrywały sztychy za szkłem, i emblematyczne cyfry z wieńcami: pamiątki imienin, ślubów i dni wesolych. Nikt zwykle w sali nie siedział, był to pokój dla gości i dopiero za nim w gabinetku niemniej porządnym, mogłeś znaleźć panią domu, zacną wdowę, Jaśnie Wielmożną Dorotę z Dyłagowskich Sumińską.

Nie młodo już była osoba, i do młodości już nawet wszelkie straciła pretensje, nie mając je czem usprawiedliwić. Na wygodnym krześle rozparta, umiesciwszy nogi na stołeczku, w okularach, zacna matrona spoglądając na dwoje piesków u nóg jej na poduszkach spoczywających ciągnęła kabałę, z miną tak poważną, tak zajętą. Jak gdyby pisała najważniejsze dzieło, albo liczyła odległość ziemi od słońca. Przy niej leżał sznureczek od związywania kart i futerał od okularów; dalej nieco stał dzwonek staruszek, i szklanka wody z cukrem, przykryta spodkiem od filiżanki.

W oknie siedziała druga osoba, jejmość panna Anna, siostrzenica pani Doroty, zajęta pończoszka, a niekiedy spoglądająca ukradkiem w długą lipową aleję. Nie nie przerywało milczenia, prócz jednostajnego faworytów piesków chrapania, które, jak chód regularny zegaru, odzywało się.

Pani Dorota była już wcale nie młodą; ale przez regularne życie potrafiła się zachować w pozorach średniego wieku. Sucha, wyprostowana, poważna, z oczyma szaremi, z włosiem siwym ale pokrytym czapczką i lokami, całe tak swoje życie ze wszelką przyzwyczajoną i w największym przepędziła porządku. Z nieboszczykiem mężem w zgodzie i błogosławiciu Bożem przeżywszy lat dwadzieścia kilka, bezdzietna, już lat kilkanaście nosiła czepiec wdowi, i jak prawej przystało niewieście, pobożna, miłosierna, oszczędna, gderliwa, kończyła życie kabałą i pieskami.

U pani Doroty najznamienszą figurą w domu był ten zegar w sieniach, który rozporządzał dniem i wyrokował kiedy trzeba było spać, jeść, chodzić, wstawać i t. p. Wszystko działo się według jego rozkazów, słudzy bali go się więc więcej niż samej pani: sama jejmość słuchała go z pokorą, dając pierwsza dobry przykład nieograniczonego posłuszeństwa. Gdyby kiedy staremu zegarowi przyszła była ochota stanąć, cały dom byłby stanął i nie wiedział co począć: szczęściem panujący ten starzec, mimo podeszłego wieku, nie groził jeszcze bezkrólewien, a co rok zegarmistrz z blizkiego miasteczka zaglądał wewnątrz, badając pilnie stan jego zdrowia, który zwykle przecyszczeniem się kontentował.

Panna Anna, siostrzenica pani domu, było to młodziuchne i mile stworzenie. Miała ledwie lat szesnaście, gdy ją przysposobiła ciotka i osadziła przy sobie. Blondynka, niebiesko-oka, średniego wzrostu, wysmukła i zręczna chociaż nie była cu-

dem piękności, tak jednak harmonijnie wszystko w niej się z sobą godziło i odpowiadało sobie, iż na pierwszy rzut oka, każdego musiała ściągnąć uwagę. Na jej twarzy panował wyraz nieprzebranej słodyczy, śmiały się usta, uśmiechały oczy, jednak nie tym szyderskim uśmiechem zalotnictwa lub szyderstwa, które widujem w oczach kobiet zepsutych lub do zepsucia skłonnych, lecz łagodnością chrześcijańską. Zdawało się patrząc na nią, że się nigdy gniewać nie mogła, nigdy zniecierpliwić: wyglądała jak anioł przebaczenia i cierpliwości.

To też pani Dorota bardzo kochała siostrzenicę i głośno się z tém odzywała, że jej wszystko zapisze, co miała z siebie i z zapisów nieboszczyka męża. Niemal to młodzień okoliczną nęciło, ale na nieszczęście, panna Anna nie śmiała za nikim się odezwać, a ciotka nikogo jeszcze godnym jej nie osądziła. Czy spieszo było młodej dziewczynie wyjść za mąż? tego nie wiem: to pewna, że czasem spoglądała niespokojnie w okno, zamyslała się nad robotą, szukała rozrywki pielęgnując kwiatki, nie sypiała w nocy i modliła się gorąco; jednakże, gdy zalotnicy przyjeżdżali, przyjmowała ich tak zimno, poważnie, obojętnie, że każdy z nich odjeżdżał zrażony.

Ciotka też ze wszelką przyzwoitością, i wedle wszystkich reguł przyjmowała ich, i żadnego jeszcze nie dopuściła do oświadczenia się. Większa część młodych sąsiadów już nawet znudziwszy się, porzuciła była pannę Annę, uważając ją za niezdobytą fortecę.

Tak się miały rzeczy w chwili, kiedy się ta historia zaczyna. Wybiła czwarta na zegarze w sieniach, skrzyły drzwi od sali, dał się słyszeć chód powolny, i łysy, siwy, wysoki, chudy Jan, stary sługa domu, w szaraczkowej kurtce, palonych bótach, z chustką od nosa i tabakierką wyglądającą z kieszeni, wszedł, jak zwykł był wchodzić od lat dwudziestu, z tacą, na której była kawa i sucharki. Postawiwszy ją na stoliku przed panią, cofnął się ku drzwiom i stanął pod progiem, zażywając tabakę.

W téj chwili pani Dorota zawiązała sznurkiem karty, zdjęła z nosa i schowała w futerał okulary, przysunęła tacę i zaczęła nalewać kawę. Pieski przywykłe zbudziły się słysząc dźwięk garnuszka i filiżanki, a Jan założywszy w tył ręce, stał w milczeniu.

— Chłodno na dworze, Janie?— zapytała pani, bo zwykła go była pytać zawsze o toż samo od lat dwudziestu.

— Chłodno pani, ale pogodnie.

— A co się tam dzieje z kanarkami?

— Zdrowe pani, tylko się trochę samce poczuwały.

— Aniela nigdy dobrze nie dopilnuje śmietanki: oto węgle pływają po niej.—Jan zamilkł, bo nie śmiał ani wymawiać ukochanej Anieli, ani sprzeciwiać się pani.

— Panno Anno, rozlej piskom śmietankę.

Posłuszna porzuciła robotę i poszła piskom służyć, w czém Jan pospieszył jej dopomódz. W nagrodę dostała panna Anna sucharek, który, pocałowawszy ciotkę w rękę, położyła na oknie. Następnie Jan zabrał tacę i mierzonym krokiem wyszedł, zamykając pilnie drzwi za sobą. Tu zaszła zmiana dekoracyi. Pani Dorota kazawszy sobie podać książkę od nabożeństwa, wzięła się do

pacierzy, a panna Anna wyszła do sali bawić pieski ciocine.

Jeszcze zegar nie uderzył był pół do piątej, gdy w ulicy lipowej ukazał się powóz, prosto dążący do dworu. Postrzegła go panna Anna i pobiegła uwiadomić ciotkę. Natychmiast pani Dorota wyszła do sali i usiadła za stolikiem, a siostrzenicę wyprawiła, aby przygotowano herbatę.

Tymczasem coraz się zbliżał powóz, stuknął o próg we wrotach i z turkotem zajechał przed ganek. Pani Dorota podniosła się nieco dla zobaczenia kto przyjechał, ale rozpoznać nie mogła.

W sieniach dały się słyszeć głosy, chrząkania, szeptania, wreszcie zakrecono klamką i otły, rumiany pan sędzia Buczkowski wszedł ze wszelką przyzwoitością i uszanowaniem, cisnąc się do ucałowania ręki gospodyni, która na widok jego powstała i niby się uśmiechnęła. Za nim szedł młody człowiek (i to niemal zmieszało panią Dorotę) bardzo świeżo i przyzwoicie ubrany, mogący mieć lat około trzydziestu, rumiany, wesołej twarzy, oczu błyszczących, ledwie poczynający odrobinę łysieć, zbudowany jak Bóg przykazał, przytém ciemno-blondyn. Ubranie jego okazywało człowieka dobrego towarzystwa i wcale nie wieśniaka; toż potwierdzał lekki, trochę szyderski uśmiech ust i jakaś mina, po której łatwo poznać nadpsutego swobodą kawalerskiego życia człowieka. Pan Sędzia otły i dawniej zalotny a miły człowiek (taka była o nim przynajmniej tradycja w sąsiedztwie) z rewerencyą przystąpiwszy do ręki pani Doroty, przedstawił jej młodego człowieka, jako swojego krewnego, pana Mateusza Wideckiego, niedawno osiadłego w tych stronach, który spieszył ze złożeniem swego uszanowania pani Podkomorzynęj dobrodziejce.

Naszastawszy mocno nogami na znak uszanowania, przybyli usiedli na wskazanych krzesłach i uroczyste rozpoczęło się milczenie.

Pani Dorota szukała w głowie, od czego zwykła była rozmowę z przybywającemi zaczynać, pan Sędzia patrzył po ścianach i uderzał palcami po kolanie, pan Mateusz oglądał się z miną człowieka, który bada ducha domu. Gdy wszyscy milczą jeszcze, przez drzwi od bocznego pokoju weszła z rumieńcem na twarzy panna Anna: goście powstałi, ukłony, przywitanie i znowu milczenie. Pan Mateusz tylko poglądał już nie po ścianach, ale najpilniej, jak być może, wlepił oczy w pannę Annę.

Gdy się to dzieje, pani Dorota odchrząknęła i zaczęła rozmowę:

— Pan Sędzia już zapewne ukończył siejbę?

— O! nie jeszcze— odpowiedział zapytany,— jeszcze mam kilkadziesiąt korey żyta do posiania.

— A jakże tegoroczne wydajel?

— Ledwie po korcu kopa: bardzo źle, będzie drożyzna. Żydzi już się zaczynają dowiadywać o żyto. Pani dobrodziejka ma podobno kilkoletnie?

— Tak jest, z trzech lat.

Tu uznał potrzebném wtrącić się w rozmowę pan Matensz.

— Jestto bardzo dobra rachuba, rzekł, nie przedawać w tanie czasy.

— Oczywiście!

— Oczywiście! dodali p. Podkomorzyna i pan Sędzia. Poczém znowu nastąpiło milczenie.

Jan przybrany w surdut nowiuteńki, w którym wyglądał jak w worku, wniósł talerz jabłek, następnie podano herbatę. Rozmowa zwolna i ze wszel-

ką przyzwoitością toczyła się, jak to pospolicie na wsi bywa, o gospodarstwie, o cenach zboża i t. p.

Pani Dorota, zawsze w każdym młodym człowieku domysławiająca się konkurenta do p. Anny, z pod oka mierzyła pana Mateusza i w duchu osądziła go bardzo przyzwoitym człowiekiem.

Lecz dziwne wrażenie zrobił on na Annie: ona co przywykła była z jednaką obojętnością spoglądać na wszystkich, kiedy weszła do pokoju i spojrzała na niego, uczuła jakiś dreszcz przechodzący po ciele i drzeć poczęła, sama nie wiedząc czego. Serce jęj biło gwałtownie, nie śmiała spojrzeć, obrócić się, ruszyć, bała się ust otworzyć. Kto inny byłby to wziął za przeczcucie, lecz ona nawet się nad tén nie zastanowiła co to było; tak bowiem przejęta była posłuszeństwem, że nie czuła w sobie woli, nie przypuszczała przeczcucia: w prostocie ducha zdawało jęj się, że ciotka powinna była czuć i myśleć za nią, że to do nięj wcale nie należało. Znając przytém panią Dorotę, wiedziała, że jęj nie wolno mieć swojej woli i myśli; bo jak zęgar kierował całym domem, tak wola pani rządziła wszystkiemi, co je otaczało, aż do najdrobniejszych czynności. Przytłumiła więc bicie swego serca, niespokojność, i usiłując zapomnieć o gościu, który ją takim strachem nabawił, wzięła się do robienia herbaty. Wtém, gdy ją zalewa starannie, słyszy, że ktoś wstaje, idzie, zbliża się i w końcu ajrzała młodego gościa przy sobie. Zupelnie już wtedy nie wiedziała co począć, w uszach jęj zaszumiało, w głowie się przewracało, w oczach emiło; a ciotka z niesłychaném także zdumieniem i nieukontentowaniem spojrzała na kawalera, który tak nieprzyzwoicie, przy piérwszój bytności, osmielał się zbliżyć do panny Anny.

Nic tego nie zważał p. Mateusz i śmiało ofiarował swoją pomoc Annie do robienia herbaty. Zaledwie biédna zebrała się na niewyraźną odpowiedź:

— Bardzo dziękuję, ja tak jestem przywykła... Uparty gość nic na to nie zważając, koniecznic obstawał przy zaczęciu rozmowy z Anną.

— Pani zapewne lubi kwiaty?

— Tak, tak jest—niewyraźnie odpowiedziała.

— Musi tu być piękny ogród.

— Tak, piękny ogród.

Znowu się urwało: biédna Anna rzuciła okiem na ciotkę, której szare oko wytrzeszczone i usta zaciśnięte, grozić jęj się zdawały i bronić nieprzyzwoitć z kawalerem rozmowy. Narazie po kilku probach, przekonawszy się pan Mateusz, że z tego nic nie będzie, usiadł i zamilkł.

Podano herbatę: pan Sędzia głośno gadał, panna Anna siadła zdaleka pomieszana, pan Mateusz już po ścianach tylko patrzył, ciotka okazywała najfatalniejszy hamor. Gdy Jan wyniósł tacę, goście zaczęli spoglądać na zęgarki, powoli włożyli rękawiczki, pożegnali się i odjechali.

Zaledwie zabuczało, pani Dorota ruszając ramionami powstała z kanapy, rozkazała stoly pościierać, pozwoływała rozpiecznione pieski i odezwała się:

— Ależto jakiś jegomość impertynent! Tak zaraz obcesowo sobie do paniénki się przysiadła. Bardzoż Wpanna dobrze uczyniła, żeś mu nie odpowiadała.

— Ja ciociu odpowiadałam! rzekła Anna.

A to bardzo źle, to nieprzyzwoicie: trzeba było udawać, że się nie słyszy. Któż to widział kiedy z piérwszą wizytą i zaraz do panny w konwersacye! Proszę, żebyś mi Wpanna drugi raz to pamię-

tała, udawać, że się nie słyszy. To wcale nie uchodzi, żeby młoda paniénka gadała z kawalerami. Powiedz aspanna niech Jan ta pościéra: podaj mi mój różaniec. Idź precz Amor! idź precz! Jaki impertynent! Ale, bo i ten Sędzia, po co go tu było przywozić! Na poduszkę Żolka, na poduszkę! W Imię Ojca i Syna i—Idź aspanna do ogrodu, a okryj się ciepło; niechaj Aniela przyjdzie z pończochą do przedpokoju! W Imię Ojca i—A nie pójdziesz precz z krzesła! Weź aspanna chustkę od nosa i trzewiki ciepłe! A która tam godzina? po szóstój, późno! Dajże aspanna pokój, już nie chodź do ogrodu, bo rosa pada!

III.

A N N A .

Taką jednak, jakąśmy ją odmalowali, powierzchownie nie przez się nieznaczącą istotą, nie była panna Anna. Pokryte tą suknią pokory, łagodności, posłuszeństwa, było w nięj pełne uczucia serce, a w głowie roily się myśli, którychby za ciotka nigdy była nie zrozumiała, gdyby nieostrożna siostrzenica wydać się chciała z niemi. Była kobieta pełna uczucia, rozumu, przygotowana i uzbrojona do życia; lecz reguły przyzwoitości i zupełne zdziennienie ciotki, nie dozwalały jęj się z tém okazywać. To też Anna zdawała się na pozór nie znaczącą istotą, choć była wcale niepospolitą kobietą. Wszystko w nięj tłumila ta niewola, w której karby brała otaczających ją pani Dorota. Zostawiona sama sobie Anna czasem płakała, ale przekonanie o obowiązkach, konieczności takiego położenia, prędko ją umiała natchnąć rezygnacyą, z którą nie tylko znosiła złe humory i ciągły despotyzm ciotki, lecz brak zupełny życia, rozmowy i uczuć niezbędnych w młodym wieku. Usiłowała przywyknąć do tego spokojnego i regularnego życia, w które była wprzężona, starała się wytłumaczyć sobie, że tak jak było, było dobrze. Lecz napróżno.

Trudnito młodej paniénce oswoić się z takim życiem zimném zegaru, jakie prowadzono w Złotćj Woli u pani Doroty. Męczyła się biédna Anna i ofiarując Bogu swoje męczarnie, usiłowała przed ciotką nigdy się nie wydać z tém, że jęj było źle, i że miała w duszy większy zapas uczucia i myśli, którego niepodobna było zużyć przy kanarkach i pieskach.

Tymczasem pocieszała się wspomnieniem swojej młodości. Inna bowiem całkiem była piérwsza jęj młodość, inne wówczas życie, i przygotowanie do innego. Rodzice Anny byli bardzo bogaci, nie szczęściem, jak to u nas często bywa, los ich osadził przy bogatszych jeszcze, w stronie, w której zbytek był w powietrzu, koniecznością, potrzebą; na zbytki więc stracili wszystko co mieli. Po świetnych balach, zabawach, z palacu i karet zejść potrzeba było w ubogie życie nędznego dworku i karmić się zgryzotami. Anna odebrała była wychowanie niepospolicie staranne; matka, która ją kochała, jak zwykłe jednaków kochają rodzice, poświęciła się całkiem najświetniejszój edukacyi alubionego dżiccięcia. Trzeba wyznać, że koszta, jakie ztąd wyniknęły, przy dość nieporządném utrzymywaniu interesów, przyczyniły się niemal do zniszczenia na majątku rodziców Anny. W ostatnich czasach, gdy z przestrachem poglądali na

przyszłość coraz groźniejszą, gdy dłużnicy po jednej zabierali wioski, cieszyli ich tylko postępy córki, jej wdzięki i charakter słodki. Nauczyciele ubóstwiali tę uczennicę skromną przy największych postępach w nauce, a zawsze jak dziecię łagodną. Kiedy wreszcie rodzice Anny ujrzeli się nagle w ubóstwie, nie tyle im żal było majątku dla siebie, ile dla córki: to bowiem, co przeznaczili na jej uszczęśliwienie, wychowanie, stawało się przy ubóstwie jedną więcej męczarnią. Może się to komu wydać śmieszne, lecz któż nie przyzna, że wychowanie staranne daje gusta wytworne, czyni potrzebą towarzystwo dobre, książki i t. p., a z jakimiż trudnościami waleczyć musi ubogi, żeby te przyjemności życia, do których nawykł, bez upokorzenia pozyskać? Anna nagle przeniesiona z pięknego palacu do mizernego dworku, który z całego majątku rodzicom jej pozostał, nie miała nauczycieli, fortepianu, książek, arfy, kwiatów swoich, ogródka, pięknych obrazów i pięknych sukienek. Z początku było jej bardzo ciężko znieść taką odmianę: lecz gdy ujrzała posępne twarze ojca i matki, gdy uczuła potrzebę pocieszenia ich, udala, że jej dobrze, lepiej nawet jak wprzód, włożyła uśmiech na usta, i biedni rodzice uwierzyli dziecięciu, które z nieporównanym poświęceniem uśmiechało się do nich, płacząc w sercu. Anna miała już tyle siły i tyle miłości, że potrafiła udawać, i do śmierci rodziców nie pokazała smutku, który serce jej ścisł. Naówczas poznała ona świat lepiej, i myśląc o nim w ciichości powiedziała sobie, że cierpienie jest przeznaczeniem człowieka na ziemi, że szczęście jest niepodobnem, a jeśli kiedy zaświeci, to chyba dlatego, żeby po nim czarniej się jeszcze świat wydał. Opuszczeni, sami jedni rodzice Anny, nie narzekali na przyjaciół, nie ciśnili się do panów, którzy póty tylko żyli z niemi, póki byli bogaci; cierpieli także i milczeli. Nie przyszło im nawet na myśl, że Anna miała ciotkę bogatą, któraby się jej losem zająć była powinna, całkiem inaczej obmyślali dla niej przyszłość, i innych wyznaczili jej opiekunów na przypadek swojej śmierci. Lecz ciotka nudziła się sama jedna, zaśluszła coś o nieszczęściu siostry, dowiedziała się o jej córce, i zażądała ją mieć przy sobie, obiecując wszystko, co miała, jej zostawić. Wielka to była radość w ubogim domku, gdy ze wszelką przyzwyczajoną napisany list pani Doroty, doszedł rąk rodziców Anny: odżyli oni w dziecięciu i płacząc dziękowali Bogu. Tylko młoda dziewczyna nie dzieliła ich radości, przywykła już ona była do nowego życia i nie chciała go odmieniać, nade wszystko nie chciała porzucić rodziców: ukolysano ją jednak z łatwością, ona była tak łagodna! Matka odwiozła ją do Złotej Woli!

Nie potrafię opisać uczuć Anny na widok ciotki zimnej, regularnej, traktującej ją ze wszelką przyzwyczajoną (tak różnej od matki), tak surowej i niewyrozumiałej, na widok tego domu, w którym zęgar panował, gdzie niewolno się było rozśmiać głośno, pobiegać, zagadać, poswawolić, i gdzie wszyscy chodzili wysznurowani jak lalki, zdając się albo nie mieć uczucia i duszy, albo najpracowiściej w sobie ukrywać. Przeszło po niej zimno, ścisnęło się serce, płakała, gdy wyjeżdżała matka, ale milczeć musiała, i przyjąc to szczęście dlatego, że ono się szczęściem rodzicom jej wydawało. Tu do ostatka stracić musiała Anna, a przynajmniej skryć przed ciotką wszystkie swoje dobrze wychowanej dziewczyny zatrudnienia i upodobania.

Fortepian zdawał się ciotce nieskończenie dziwnym przy pozytywku dla kanarków; inną książkę nad nabożną nie pozwoliłaby czytać, uważając to za największą z nieprzyzwyczajności dla panny; śpiwu nie tolerowała wcale, skoku i wesołości zabraniała surowo, wynurzeń i łez także strzegła najpilniej. Kładła na nos okulary, aby zobaczyć co panna Anna rysuje i darła niemilosierdzie jej próbki, mając tę sztukę za coś szatańskiego i nieprzyzwyczajonego dla kobiety. Potem zasadziwszy Annę do pończochy, zaczęła pani Dorota chodzić po pokoju mrucząc.

— Oni ją, Boże odpuść, edukowali na aktorkę, czy co? Po co jej ten klawikord! po co jej te malowidła! Do czego to te książki, co oni jej nauczyli. Albo ta francuzczyzna, Boże odpuść! to tylko wszystkiego złego początek! Otóż i Pan Bóg nie pobłogosławił i przez tę bezbożność swoje majątek stracił! A taki piękny majątek! Ta-to klucz był jako rzadko: pięć wsi ogromnych! Jakto im było stracić? Ale kiedy to i jegomość podobno był farmazon, jejmość lubiła kornety, i dziecko psuli, i poginęli. Żółka, a po co na kanapie, a nie pojedziesz. Trzeba zacząć koronkę—aspanna pobiegaj z pieskami po sali i zabaw się!

Zmuszona biegać z pieskami za całą zabawę Anna, o jakże wiedła, jak schła, jak nieraz po kątach płakała! Lecz kiedy jej to okropne życie bez myśli i uczucia dogryzło, uciekla się do modlitwy, bo była nabożna, jak wszyscy nieszczęśliwi, i powiadała sobie pociechu:

— Bóg cierpieć przykazał! Bóg nagrodzi cierpienie! A potem znowu płakała. I tak biegły jej smutnie młode lata w Złotej Woli przy ciotce.

Gdy się cokolwiek osiedziała Anna, a sąsiedzi o jej przybyciu dowiedzieli i o zamiarach pani Doroty, mnóstwo poczyniono projektów swatostwa, gdyż zapis całego majątku czynił ją może najlepszą partją w sąsiedztwie. Przez niejaki czas nie było dnia bez odwiedzin, zjeżdżano się jak do cudownego obrazu, żeby widzieć przybyłą, a młodzi na wyścigi starali się jej podobać! Ileżto pięknych marzeń uczyniono, budując je na posagu panny Anny, ile to domów krzywo na siebie patrzeć zaczęło, już w sobie współzawodników upatrując, ile to się rozeszło plotek, ile było klótni! Ale wszystkie te projekta rozbity się z kolei o zimną powierchowność Anny, a zimniejszą jeszcze krygowność i regularność ciotki, która tyle doskonałości żądała od narzeczonego siostrzenicy, ile ich mogła skomponować na rachunek męża, po jego śmierci. Liczba tych przymiotów była tym większa, im dalej panią Dorotę lata odsuwały od nieboszczyka Podkomorzego, którego po śmierci w sercu swoim ukanonizowała. Codziennie niemal dodawała mu jakąś cnotę, której nie miał i kładła ją za warunek przyszłemu mężowi Anny. Po swojemu myślał o jej szczęściu, głęboko się nad niemi zastanawiała, unędy piątą a szóstą wieczorną codziennie, jeśli gości nie było, i chciała koniecznie młodego pana Podkomorzego jakiegoś dla Anny, któryby kubek w kubek podobny był do obrazu nieboszczyka, jaki w sercu swoim nosiła, mając go za najprawdziwszy. Tym sposobem zameście Anny stało się prawie niepodobieństwem.

Napływali w dom coraz nowi konkurenci, lecz każdy z nich ledwie był za bramą, już mu pani Dorota wyrok napisała.

— A fili Boże odpuść!—mówiła. Gdybym też miała wydać Anusię za tego ogromnego draba, podo-

bniejszego do hajduka, niż do obywatela przyzwolę! Najmniejszego podobieństwa z panem Podkomorzym! A jaki śmiałowaty: już się do rączki cisnął całować za pierwszą wizytą. Abo do czego to takie włosy kręcone? Nie taki był Podkomorzy! Jęj koniecznie trzeba takiego małżonka, jak Podkomorzy. To to był złoty mąż! Ach biednaż ja wdowa! Boże odpuść! Żolka, precz z kanapy!

Wyjeżdżał drugi, to znowu inne następowały zarzuty.

— A toż jeszcze tego, Boże odpuść, brakowało! jakiś młokos, co nie ma wąsów jeszcze, słabowiteto, chuderlawe jakieś! Pewnie w suchotach! I cóż on ma? mizerynych kilkanaście chalup! Albo i to! albo i to! Żeby ja za niego moje Anusię wydała! Żolka, pójdźże ty precz, a nie zaglądaj tam!

Pocziwa ciotka każdego tak błogosławiła na drogie, i każdy raz drugi pokazawszy się, zrażony, bywać przestawał. Annie było to prawie jedno, nie spodziewała się ona szczęścia i nie wzdychała za niczém, bo miała przecucie, że los jęj się nie poprawi odmianą.

Wśród tych starań o Annę, odebrała ona smutną wiadomość o śmierci rodziców, po których ciotka prawie jęj nawet płakać zabroniła; została więc sama jedna w świecie, skazana, aby jęj nikt nigdy nie pocieszył. W milczeniu zalewała się gorzkimi łzami, i kryć się z niemi musiała, bo niemilosierna pani Dorota gderala nicustannie.

— A dosęże tego, Mościa panno, kiedy powiadam pannie aspannie, żebyś mi zaraz tych łzów przestała. Bardzo dobrze płakać po rodzicach, ale w miarę, aspanna masz we mnie większą dobrodziejkę, oni aspannie nic nie zostawili, i gdyby nie ja, tobyś teraz kawalka chleba nie miała. Idź aspanna pobiegaj z pskami!

Heleć ją zobaczyła we łzach, tyle razy niemilosiernie gderala pani Dorota, lub pocieszała ją w taki sposób, który tylko większy jeszcze żal mógł wzbudzić. Takie było życie Anny, a zważywszy jęj przeszłość, musiało się wydawać przywykły do macierzyńskiej czułości, do swobody, okropną męczarnią. Lecz kiedy Bóg daje komu przeznaczenie cierpienia, daje mu także siły, i w tęj słabowitęj, delikatnéj dziewczynce, był zapas wytrzymałości i cierpliwości nieprzebrany. Trudno jednak było przywyknąć tak do życia przy pani Dorocie, aby ono smakować mogło; żadna niewola nie trapi gorzej nad niewolą duszy, przykucie do osoby zupełnie odrębnego charakteru, musi być nawet w piekle największą karą. Wystawcie sobie, że waszój duszy, waszemu sercu, odebrano wszelką władzę, a zostawiono uczucie; że nie wolno wam płakać ani radować się bez pozwolenia, ani stąpić krokn, ani pomyśleć chwilę swobodnie. Któżby nie wołał wszystko, co być może najcięższego, nad te piekielne męczarnie, nad ten wieczny los cienia chodzącego za ciałem mimowoli? A jednak Anna znosiła to bohatercko, tłumila nawet w sobie żal przeszłości, i mimo męki, jakiej doznawała od ciotki, kochała ją! W tęp anielskim sercu było tłumaczenie jęj postępowania, wymawiała ją sama przed sobą, nalogiem, charakterem, przywykniem, czyniła ją nieodpowiedzialną za to, co od niej doznawała.

Anna w ciągu życia wiele słyszała, czytała, domyślała się o miłości. Póki jeszcze miała przyjaciółki, (tę niezbędną potrzebę młodych dziewcząt) nieraz odbierała od nich zwierzenia poufale chwilowych tych dziecinnych a tak słodkich miłości,

które się kończą pospolicie na zamianie kwiatka i tysiącach westchnień. Są to prześliczne przywiązania, niewinne i różowe, które tyle rodzą marzeń, tyle nadziei, tyle najprawdziwszych zamków na lodzie! Lecz sama nigdy nie kochała! Czula ona, że kochaćby mogła, odzywała się w niej potrzeba miłości, ale nie było kochanka. I to więc biedna Anna policzyła na karb swego przeznaczenia, myśląc, że dla niej nigdy się nawet nie znajdzie kochanek. Kiedy jęj przyjaciółki opisywały swoich, rumienila się, a na zapytania—Kogoż ty kochasz?—pocichu odpowiadała—Ja, nikogo.

— Ale to być nie może?

— Tak jest, moja droga.

I pełne egoizmu młodzieńczego przyjaciółki, tęp świetniej, tęp piękniej malowały jęj miłości swoje, napełniały jęj głowę niemi, jakby chciały jęj przysłać cierpienia czy ciekawości. I jak to bywa między przyjaciółkami, opowiadały owe cudowne wejścia na tańczącym wieczorze, owe ściśnienia ręki, owe przechadzki pod oknami, i podarunki kwiatów i bury od mamy i t. d. Anna słuchała, ale nie zazdrościła; jednakże ogarniała ją czasem niespokojność, nieopisana żądza poznania tego uczucia, które jęj rówieennice tak żywo zajmowało. Naprawdę—nikt się nie zjawił.

U ciotki nigdy już nie posłyszała o miłości innej, prócz Boga, bliźniego i p. Podkomorzego; powoli więc zapomniła, że kochać można, a surowa pani Dorota tak się nawet czasem o pannach zakochanych odzywała, jakby one wszystkie warte były najmniej szubienicy (jeśli nie stosu). Ciotka nie przypuszczała miłości w kobiecie, pozwalała kochać pieska i to przyzwolcie, skromnie, a nade wszystko za pozwoleniem starszych; męża zaś malowała zawsze wychowanicę, jako rzecz, którą dają starsi nie pytając zezwolenia panny, równie jak jęj sprawiają suknią i trzewiki.

Do wszystkich więc cierpień Anna, łączyć jeszcze musiała myśl, że kiedyś da jęj ciocia męża, podobnego nieboszczykowi Podkomorzemu, którego portret nie wiele obiecujący wisiał w pokoju. Z prawdziwą pociechą słuchała, jak ciocia ganila wszystkich konkurentów i zabięrała się ich odprawić z kwitkiem, lękając się, aby któremu z nich nie była oddana. Pojmowała ona, że znośniejsze jeszcze było życie pod panowaniem zęgara i cioci, niż przy mężu obojętnym, zimnym, i podobnym do nieboszczyka Podkomorzego.

Całą pociechą Anny był jęj ogródek, na który nie wiém jakim szczęśliwym trafem pozwoili ciotka, przypominając sobie, że w panińskim zostając stanie, miała także grządki, które pielegnowała; wydzielono więc Annie, w końcu staroświeckiego ogrodu ze szpalerami i monstrualnemi poobcinanemi drzewy, kawalek ziemi, na którym posadził ogrodnik coś naksztalt kwiatów. Pod pozorem doglądania ich, miała przynajmniej godzinę w dniu, w której mogła wybiedz swobodnie i podumać na swojej lawce z darniny. Tamto pędziła najslodsze w życiu godziny, słuchając słowika, pielegnując kwiaty, wpatrując się w daleką okolicę, jakby za nią szukała oczyma rodzicielskiego domu i młodości złotéj, których już dla niej nie było! Tam nigdy przynajmniej nie zcsła ją ciotka i pieski, i nikt lez srogo zakazanych nie zobaczył. Była tęp przywiązana do swojego ogródka i codziennie mu się wyplacała. Ogrodnik stary dopomógł jęj do zbudowania altanki i lawki, na pagórku, z którego widać było całą okolicę, kilka wsi,

wieżę parafialnego kościoła, gościniec, pola i lasy. Tu Anna widziała przynajmniej życie i swobodę, i jakże nieraz zazdrościła ubogim, co się po świecie tak wesoło przed jej oczyma kręcili. Często zapominała się na swojej ławce wilgotnej, i gdy wracała do pokoju, do ciotki, srogą odbierała burę i najcięższe wyrzuty, bo zegar wybił był godzinę dla ogródka dozwoloną. Biada Annie, jeśli Jan zdyszany przybiegł za nią do altany, aby jej opóźnienie przypomniać; leciała wówczas, nie oglądając się i z anielską słodyczą gotowała się na nieskończone gderanie pani Doroty, która nie mając innego pilniejszego zatrudnienia, z upodobaniem i smakiem siostrznicę burowała.

Lecz gdy nadeszła zima, Anna nawet i tych godzin drogo okupionych nie miała, trzeba było siedzieć w pokoju i bawić się z Żolką i Amorkiem, albo patrzeć na nieśmiertelną cioci kabałę.

Życie w Złotej Woli to miało do siebie, że wszystkich, którzy tam dłużej pobyli, obracało w machiny. Ten zegar na podobieństwo swoje przekształcał wszystkich aż do piesków. Nietylko Anna nawykła już była z każdą czynnością czekać uderzenia zegaru, lecz psy rozumiały jego bicie, a słudzy przeczuwali je zdaleka. W lecie i w zimie zarówno o szóstą wnoszono kawę do pokoju pani, o samem południu dzwoniło na obiad, o czwartą podawano poobiednią kawę, o pół do ósmego zastawiano wieszak, o dziewiątą wszyscy spać się kładli, a światła gaszono. Nadzwyczajnej potrzeba było jakiejś okoliczności, żeby ten porządek zламаła, wielkie tylko święta, wila Bożego Narodzenia, Wielki Czwartek, Wielkanocne dni zmieniały porę obiadu i wieszak. W domu pani Doroty były reguły na wszystko: wyznaczono kiedy zacząć się miało opalanie pokoiów, kiedy kończyć, z resztą czy potem było zimno czy gorąco, to panią bynajmniej nie obchodziło. Wszystko w tym sposobie. Słudzy mieli najściślejsze przepisy, do których stosować się byli obowiązani, w stroju, jadłach, napoju, robotach, nic ich nie wymawiało. Męczennicy to byli, skazani za grzechy jak Anna, i gdyby wolno wierzyć, że dusze zsyłane są nazad w ten świat za karę, (jak Żydzi utrzymują na przykład) rozumiałbym, że dom pani Doroty, obmyślili dla tych dusz nieszczęśliwych wola przeznaczenia.

Miarkujcie, co mogła cierpieć kobieta z czuciem i do współczucia przywykła, przeniesiona w ten świat machin?



PAN MATEUSZ I PAN SĘDZIA.

Gdy pan Sędzia z panem Mateuszem siedli do powozu i ujrzeni się już w lipowej ulicy, starszy odwrócił się do sąsiada i zapytał:

— A cóż panie Mateuszu?

— A cóż panie Sędzio?—odpowiedział szydersko zapytany—to klasztor!

— W istocie—rzekł Sędzia—jest niejaki podobieństwo domu pani Podkomorzynnej z klasztorem: ale pięknaż w nim siedzi zakonniczka!

— Ha! zapewne nie brzydka—wybąknął zapalając fajkę Mateusz—ale diable milcząca i sztywna.

— Czegoż chcesz żeby się nauczyła od ciotki?

— Mówiłeś mi jednak—przerwał znowu Mateusz—że się przy niej nie wychowała, że rodzice jej

byli bogaci i starali się dać jej świetną edukację? — Tak było w istocie, ale młoda dziewczyna, przykuta od lat kilku do ciotki, rada nie rada wszystkiego przy niej zapomnieć musiała.

— Srogaż, bo to ciocia.

— Surowa jak stary nauczyciel, a regularna jak jej zegar ulubiony, ale w gruncie nie zła kobieta, pełna tylko starych przesądów.

— Uważałem, że nie bardzo na mnie miłym okiem patrzała.

— Nie ma ona innych oczu dla swoich faworytów: na każdego jednakowo patrzy.

— Rozumiesz panie Sędzio, iżbym mógł znaleźć u niej łaskę?

— Dlaczegoż nie, panie Mateuszu: jesteś młody, przystojny, będziesz bywał, postarasz się przypodobać, nie jesteś ubogi. Czemuż nie!

— A panna?

— O pannę niema co się wcale starać, wszystko zależy od ciotki: gdy ona zezwoli, panna twoja.

— Jednakże....

— Niema jednakże, ciotka cię zaprezentuje jako przyszłego męża, a panna i słowa nie powie. Mówią, że to jest anioł dobroci i posłuszeństwa, i w istocie dobrą będzie żoną, kto potrafił wyżyć z taką ciotunią.

— Ha! ależ to trudne, panie Sędzio! trudne do pojęcia.

— Trudne! trudne! waćpanuby się chciało przyjąć tylko, wziąć za rękę i poprowadzić do ołtarza. Tak być nie może, chcąc coś mieć, trzeba popracować, warta też pracy jeśli nie panna to posąg. Majątek czysty, nieodłużony (wprawdzie gospodarstwo idzie Bóg wie po jakiemu, ale na to jest rada) mówię waćpanu, że wart przynajmniej czterykroć. Są podobno jeszcze kapitały, remanenta piękne, owce same....

— Co tam, panie Sędzio, daj już pokój inwentarzowi. Ale ileżto potrzeba trudu, żeby tę ciocię niezdobytą nakłonić? I w jakieżto sposób brać się do tego: pochlebstwem, uniżonością, nadskakiwaniem?

— Sposób łatwy—rzekł Sędzia zażywając tabaki—gdybym nie był żonaty, poszedłbym w zakład, że tegobym dopiął. Oto naprzód trzeba poznać ciotkę, bo każdemu chcąc się podobać, poznać go wprzód należy. Jest to osoba nadzwyczaj zimna, regularna, porządna, u której na języku co chwila przyzwyczajenie, a w sercu najmocniejsze do wszelkich ceremonij i staroświeckich obyczajów przywiązanie. Chcąc ją sobie pozyskać, oczywiście trzeba się jej okazać takim, jaką ona jest, trzeba chwalić co ona lubi, ganić czego nie cierpi, co chwila spoglądać na zegarek, szanować aż do śmiechności zwyczaj domu, oddawać wizyty ze wszelką ceremonią i przyzwyczajoną, oświadczyć się po staroświecku, prosić o pozwolenie konkubowania i pozyskania affektu panny: słowem, obszyć się w skórę cudzą i udawać swojego dziada. Co się tyczy panny, dla tej dość być grzecznym; na nieby się nie zdało starać się o jej miłość, popsułyby to nawet mogło interes w oczach ciotki, a resztą będzie na to czas i po ślubie, jeśli koniecznie o to chodzi. Tym sposobem ręczę za dobry skutek. Ale jedna nieostrożność popsuć może wszystko. Waćpan, panie Mateuszu, jużś źle dziś zaczął, starając się zawiązać rozmowę z panną, widziałem jak to zdziwiło obiedwie: lepiej daleko było bawić się z pieskami. Co się tyczy piesków, o tych łaskę mocno się także starać

potrzeba, możnaby im wozić cukier w kieszeni, a przynajmniej sucharki; za drugim, trzecim razem, nie od rzeczy to będzie: pomyślimy.

— Prawdziwie Sędzio—rzekł śmiejąc się i ścisłając go pan Mateusz—gdybym nie wiedział o twojej przyjaźni dla mnie, przekonałbym się o niej musiał, z tej doskonałej jaką mi dajesz instrukcji. Będę się do niej jak najściślej stosował, i czuję jak mi być może pomocna. Znasz—dodał ciszej—mój sposób myślenia i widzenia rzeczy. Nie jato będę się uganiał za głupimi wymysłami, które zowią miłością, uczuciami i tym podobnymi bredniami. Te ideały dobre są dla ubogich, głupich, którzy jak ten nędzarz jedzą chleb przy zapachu pieczenia, wmawiając sobie, że on jest od samej pieczenia lepszy: ja lubię w każdej rzeczy istotę, nie uczucie. Po kiego licha mi te uczucia; wszystkie kobiety są równe i głupcy tylko wierzą w serce. Ja kiedy się ożenię to dla pieniędzy, dla interesu, a pewnie nie z przywiązania jakiegoś, w które nie wierzę, powtarzam. I od mojej też żony nie wymagam, tylko byle mnie cierpiała i była mi wierna; zresztą wiem dobrze co to zowią miłością! Cha! cha!

Ale mój Sędzio! z tym wszystkim dlaczegoż tu dotąd nikt tej Anny ręki nie mógł pozyskać?

— A bo wszyscy głupi! chcieli pannę rozkochar! Pokazywali się tej cioci z nowomodną manierą, tracił się na wystawne konkury, a nie pomyśleli, że trzeba napróżd stroża przekupić, nim się co ukradnie; że każdego znowu inną monetą przekupywać trzeba. Waćpan, panie Mateuszu właśnie możesz najlepiej wskórać, kiedy się nie myślisz kochać, i tak na zimno a rozważnie będziesz rzeczy traktował.

— A już ci! a już ci! mówię ci i powtarzam panie Sędzio, że w te uczucia nie wierzę, tak jak w post i jeszcze coś.

— Jesteś więc całkiem niedowiarek Boży?

— Cha! cha!—odrzekł Mateusz—człek bywał na świecie i poznał to wszystko z gruntu!

— Proszę aspana! i ty w nic nie wierzysz?

— Prawie w nic, prócz pieniędzy.

— A jakże żyjesz na świecie?

— Pieniędźmi.

— Więc nie wierzysz i w moje przywiązanie?

— O! o! to co innego, Sędzio! kochasz mnie od dziecka, masz do mnie nalogowe, staroświeckie przywiązanie.

— A ty do mnie?

— Czyż wątpisz o tym, Sędzio! I pan Mateusz zabierał się uściskać Sędziego, który rzecz inaczej zwrócił.

— Ale, ale—rzekł—przypominam sobie jedną rzecz ważną, której ci jeszcze nie powiedziałem. Jest jeszcze jedna w domu cioci osoba, na którą, chociaż się ona prawie nie pokazuje, wielką baczność mieć potrzeba, a może zacząć od ujęcia jej.

— Któż to taki?

— Komisarz pani, stary jej faworyt i sługa zaufany, p. Balabanowicz. Ciocia ma w nim nieograniczoną ufność. Stary wyga pokornie się kłaniając umie z tego korzystać, i robi co mu się podoba. Ludzie mówią, że tego kradnie i ktośby o tym wątpił! W jego położeniu kradłby najniebezpieczniej! Balabanowicza potrzeba ci ująć, bo on jest cioci wyrocznią: kiedy on będzie za tobą, polowa wygranej. Umie znając panią Dorotę dobrać chwili i sposobu pochwalenia, zaleceń. Jeśli on się na wasze ci skrzywi, po wszystkim! Balabanowicza więc

napróżd ująć ci potrzeba, i ja co go znam od lat dwudziestu, podam ci na to sposób. Stary jest skąpy, pijak i szachruje koniami; zaprosz go, spój do brze i daruj mu konia, będzie cię pod niebiosy wynosił.

— A niechże cię uściskę Sędzio za te rady—rzekł Mateusz—jakże ci się wywdzięczę?

— Wywdzięczysz mi się, jeśli to roztropnie poprowadzisz i ożenisz się—odpowiedział Sędzia—kocham waci jak syna, i radbym mu najlepszy los zapewnić. W całym zaś naszym sąsiedztwie nie ma lepszej partyi nad p. Annę. Jeszcze tylko słówko o majątku: żenisz się dla widoków, dobrze żebyś wiedział co weźmiesz P. Podkomorzy nieboszczyk, mąż pani Doroty, byłto sobie dobry safandula, który skakał całe życie, jak mu jego jejmość grała, a wreszcie nie mając blizkich krewnych, cały majątek zapisał żonie. Zostawił on dłużki, ale te 30,000 złotych nie przechodzą, to bagatel! Majątek ciocia niechybnie siostrzenicy zapisze; raz, że się już z tem słyszeć dała, a kobieta słowna; powtóre, że niema komu innemu zapisać i bez zapisów spadłby na nią; lekko tedy licząc czterykroć weźmiesz bratku!

— A nożkibym twoje Sędzio ucalował? Niech trzykroć to tak dobrze być bogatym!

— O! czemu nie! zapewne, że dobrze!

— Człekby sobie dopiero pozwolił.

— Pozwoliłby sobie stracić?

— Ba! ba! byłoby z czego zahulać, nie tracąc funduszu.

— Ale moiści panie, pamiętać także trzeba o tém, żeby zaraz od żony wymódz zapisy!

— To się rozumie.

— Inaczejbyś miał ręce związane, i byłbyś tylko panem dochodów. Potrzeba się nam będzie starać, aby stara za życia dała wam folwark jaki w posagu. Czy jej nie dość będzie Złotej Woli? Prawdę powiedziawszy mogłaby puścić i Złotą Wolę, a sama przy wasby Pana Boga chwaliła i pieski karmila.

— Zapewne, ale....

— Mnie się zdaje, że my to zrobim przez Balabanowicza. Prawda, że jemu o to chodzi, żeby rządzić całym majątkiem, ale postąpiwszy mu coś.

— Dawszy mu co w łapę....

— Rozumie się nie wprzód, aż do intercyzy przychodzić będzie. Stary filut mógłby ci figla wypłatać.

— To się rozumie, Sędzio.

— A teraz, szal cicho, ani słowa nikomu! Sąsiedzi i dawni konkurenci mogliby nam przeszkadzać przez samą zazdrość, bo im się zdaje, że kiedy oni poszli z kwitkiem, to i wszyscy harbuza dostaną. A wielka rzecz, że im się nie udało, kiedy każdy z nich miał na sercu, żeby przynajmniej jedno, jeśli nie więcej, głupstwo zrobić przeciw sobie! I tak: pan Aloizy rwał się jak szalony do panny, a ciotce się nawet nie pokłonił; pan Hieronim z Balabanowiczem w kłótni śmiertelnej; pan Wincenty skaleczył psa faworyta przy pierwszej wizycie! I jakże im się udać miało!

— To prawda Sędzio! Azatém cóż teraz dalej mam robić?

— Według wszelkich reguł i praw (o ile przypominam sobie) potrzeba, aby teraz stary jaki przyjaciel jechał do pani Doroty oświadczyć, że wasze masz chęć starania się o jej siostrzenicę, i prosił o pozwolenie bywania w domu. Tym sta-

rym przyjacielem będę ja; ale wprzód trzeba Bałabanowicza ująć.

— Jakżeby to go do mnie zwabić?

— Ja ci go jutro przywiozę, czekaj nas z butelkami i nie wahać się gdy pochwali jakiego konia darować; będzie ci się wymawiał, zaklinał, że nie weźmie, wzdragał, ale to są udania.

— Oczywiście Sędzio! ktoby tego nie znał!

— Jak tedy Bałabanowicz dobre słowo powie, pojadę ja, a jeśli (o czem nie wątpię) ciotka mi pozwoli cię przywieźć, naówczas formalnie cię w konkury zainstaluję. Potem w łmie Ojca i Syna! rób waszeć swoje interesa, a jak sobie pościelesz, tak się wypisiz.

— No, już wierz mi Sędzio, że potrafię dać sobie rady: znam ja kobiety!

— Pozwól sobie powiedzieć, że znasz tylko miejskie: wielka to różnica miejskich od naszych wieśniaczków, jak ogórka z inspektów od ogórka z grzęd! Miejskie są rozumniejsze, wolniejszych obyczajów!...

— O! co się tyczy obyczajów, wszystko to pono jedna różnica, że jedne się kryją i wstydzą, drugie im więcej broją, tén wyżej głowę drą.

— Wcale nie! U nas cnota jest koniecznością, a za moich czasów po miastach była śmiesznością tylko. Wziąwszy tu żonę, będziesz miał głowę spokojną!...

— Póki jej będę pilnował!

— Sama ci się ona upilnuje, bo się będzie bała o opinię!...

— No! no! no! nie wierzę ja w to!

— Ale boś ty straszny niedowiarek, panie Mateuszu!

— Cha! cha! cha! filozof powiedz! filozof. Któżto dziś w tym oświeconym wieku wierzy w te fatalizmy! Trzy grosze dziś nie dadzą za uczucia! za cnoty! i t. d. Byłyto podobno wielkie słowa tylko, Sędzio, któremi sobie ludzie w oczy rzucali jak piaskiem, żeby się lepić na wzajemne swoje czynności zaślepić: dzisiaj człek wierzy w pieniądź tylko, śmieje się z uczuć, a zresztą postępuje ostrożnie i zawsze bacznie na swój interes.

Gdy tych słów domawiał p. Mateusz, powóz zajeżdżał w dziedziniec jego wioski, i zakręcał przed mieszkalnym domem. Gdybyśmy jeszcze nie dali poznać p. Mateusza z jego z Sędzią rozmowy, łatwoby każdy domyślił się charakteru tego człowieka z powierzchowności mieszkania; jest bowiem związek wielki między domem a człowiekiem, co go sobie urządził. Dwór p. Mateusza był porządnie ogrodzony, dziedziniec czysto utrzymany; kuchnia stała pod bokiem, aby potrawy daleko przenoszone nie stygły: w najdrobniejszej rzeczy widać było zimnego, nielitościwego egoistę, który w całym świecie nic nad siebie nie widział. Dom świeżo zbudowany, porządnym, ale dla oka nie miły, bo bez znajomości budownictwa wystawiony, pomalowany był żółto. Są strony, w których wszystkie budowle na żółtaczkę chorują, i to właśnie była okolica, w której endemicznie panowała także żółtaczka. Przyjeźli przy wysiadaniu Sędziego i pana swego ludzie porządnie ubrani, zwinni, ale jak snadno poznać można było, mocno bojący się pana, który nie musiał być z najlagodniejszych.

Wnętrze domu oddychało tymże porządkiem i wygodkami obmyślonemi wcześniej; lecz nigdzie nie było smaku i wdzięku, bo ożywiająca mieszkanie myśl czolem bila przed ciałem gospodarza i o jego tylko wygody starała się. Na samém wej-

ściu do sieni wzniosła się wielka burza z powodu, że okna czas od komarów nie zostały pozamykane. Pan Mateusz łajał nielitościwie sługi, którzy z przestrachu głowy potraciwszy latali. Wreszcie weszli przybyli do pokoiów i kazano co najspieszniej podawać samowar.

My tymczasem skróślny w kilku słowach wizerunek p. Mateusza, a naprzód jego życie; bo przeszłość rzeczy za przyszłość, wiąże się z nią ściśle i obie od siebie zależą. Pan Mateusz był jedynakiem u rodziców, a zatem popsutem dzieckiem; los jego chciał, żeby rozpieszczony przez ojca i matkę, wcześniej ich stracił i z zarodami egoizmu, z wielką żądzą użycia świata, został sam jeden. Wprawdzie miał on jakiegoś opiekuna, ale temu daleko więcej o dziesiąty grosz chodziło, niż o dziecko jemu powierzone. Wcześniej skarbiąc sobie laski chłopca, opiekun wszystkiego mu dozwalał, wszystko chwalił, i udawał ku niemu najwyższe przywiązanie, żeby pod tą pokrywką, za dójściem do lat, łatwiej rachunki z opieki zdać mógł. Pan Mateusz chodząc do szkół, potem do uniwersytetu, puścił sobie cugle i co tylko złego w towarzystwie zepsutej młodzieży da się pochwycić, nabrał wszystkiego. Uspokojony uprzedniem wychowaniem, wziął swoją rozkosz za cel życia, bez zasad religijnych; obcując z małowiernymi do reszty stał się niedowiarkiem, wylawszy się na dogadzanie namiętnościom; osądził prędko cały świat za takiego jakim był sam, i wyuczył się szydzić jak z udania, ze wszystkimi bezinteresowności, poświęceń, uczuć szlachetnych, które spotykał po drodze życia. Lecz myłę się zowiąc go niedowiarkiem: pan Mateusz jak bydlę nie czuł nawet potrzeby wiary, żył nie myśląc czy ma duszę, szydził najbezsensowniej z tych, którzy mieli wiarę, bo nie mógł pojąć nawet jak oni szczerze wierzyć mogli.

Był więc nasz bohater zupełnym bydlęciem i życie prowadził jak zwierzę. Wszystkiego rodzaju nasycenie było pierwszym celem jego, o sławę nie dbał, nie dbał o cnotę, śmiał się kiedy mu mówiono o czyjej poczciwości, nie wierzył w przyjaźń, nie wierzył w miłość, wszystko gotów był dla widoków udawać. Zaczął od swego opiekuna, którego procesował doszedłszy lat i zgubił na majątku: trafiła kosa na kamień. Potem wypuściwszy wieś swoją dziedziczną, mieszkał w mieście, ulubionej siedzibie ludzi zepsutych: tu w całém znaczeniu wyrażał, a po kilku latach spędzonych w towarzystwie najzepsutszemu, nabywszy jeszcze hipokryzji w dodatku do pięknych przymiotów swoich, ugruntowawszy się w professyi egoisty, obaczywszy łysinę i kraglejący brzuch, pomyślał wrócić na wieś, żeby się dobrze ożenić. Stary, zepsuty jako on, pan Sędzia, stał się pomocnikiem najgorliwszym, i zawiózł go, jakeśmy widzieli, do domu p. Doroty.

Takito był konkurent Anny; łatwo każdy pojmie, jaką on dla niej przyszłość obiecywał: lecz nie łapmy ryb przed niewodem.

III.

BAŁABANOWICZ.

Z południa, następnego dnia, przez Brzozówkę, wieś p. Mateusza, sunęła się bryczka zaprzężona czterema końmi w szlejach. Na kozłach siedział

woźnica w prostej świcie i poganiał z całych sił, starając się wydobyć z jesienno błota, którego wielkie zapasy, wyziewające przeraźliwą wonie, wśród wioski spoczywały. W bryce siedział znajomy nam p. Sędzia i drugi jakiś jegomość, niechybnie pan Balabanowicz. Była to grubawa figurka, z twarzą czerwoną, nosem opoją, oczkami szaremi, usty sinemi, chytrym spojrzeniem, w peruce rudęj na wierzchu głowy, z pod której siwe wyglądały strzępki dokoła. Pan Balabanowicz ubrany był jak wszyscy skąpcy, w odzieniu czyste, ale z kroju łatwo pokazujące, że dobry lat dziesiątek w kuftrze leżało. Opierał się na stariej lasce ze skórzanymi kutasy, złamaną i związaną sznurkiem bezwstydnie.

Milczący, kłaniający się, pokorny, p. Balabanowicz, wszystko widział, postrzegał i zdawało się po jego szarych oczkach, że zawsze myślał tylko o zdradzie.

Stanęli przed gankiem: wyszedł na spotkanie gospodarz, nastąpiło przywitanie i pan Balabanowicz trzymając w ręku laskę, skurczony, zbieđniony, kłaniający się wszedł do pokoju, potknąwszy się na progu. Kipiał już samowar na stoliku a służący robił poncz. Sędzia i pan Mateusz na migi pokazali sobie, że naprzód gościa spoić wypada. Gospodarz miał w tym nawet rachubę, bo czując potrzebę darować mu konia, sądził, że gdy pijanemu konie swoje pokaże, Balabanowicz może z pochwalami, do mniej kosztownego się uczepli.

Zaczęła się żywa rozmowa, w której po większej części, komisarz pani Doroty, brał tylko udział kiwaniem głowy i wykrzyknikiem:

— Samo z siebie, panie dobrodzieju!

Byłoto jego przysłówie.

— A! szanownaszo osoba pani Podkomorzyna—rzekł Sędzia.

— Samo z siebie!—odpowiedział Balabanowicz. Osoba pobożna, regularna, poczciva!

— Cóżto za przykładne prowadzi życie, od czasu owdowienia!

— Samo z siebie!—rzekł znowu komisarz.

— Jak się ona poświęca wychowaniu swojej siostrenicy!

P. Balabanowicz na te słowa spojrział wilczo na Sędziego i poruszył się na krześle, jakby go co upiekło.

— Będzie teżto doskonała żona, komu ją Bóg da!—dolożył Sędzia.

Balabanowicz, który już sobie podpiał, zapomniawszy się uśmiechnął i kiwnął głową, jakby mówił: jestem w domu; potem zaczął się bawić rzemieniem swojej laski.

— Ja tu—ciągnął Sędzia, mrugając na pana Mateusza, zrobiłem, przyznam ci się, maleńki projekcik?

— Hm? Cóżto takiego?—spytał skąpiec popijając, jak gdyby się jeszcze nie domyślał.

— At! projekcik swatowstwa! Chciałbym pannę Annę wydać za pana Matensza: mnie się zdaje, że w témby nie nie było dziwnego?

— Samo z siebie!—odpowiedział kłaniając się i śmiejąc podpity.

— P. Mateusz chłopiec młody, przystojny, *bene natus et possessionatus*, uczciwy, dobrze się prowadzący, dbający o fundusz; byłaby to dla panny Anny partya stosowna: nie prawdaż?

— Samo z siebie! samo z siebie!

— Wiedząc ja o zachowaniu pana dobrodzieja w domu pani Podkomorzyny, chciałbym dla pana

Mateusza zaskarbić sobie dobre jego słowo, i zrozumieć przezeń czyli to do skutku przyjść może?

Tu i p. Mateusz zbliżył się, zaczęto ścisnąć się, pan Balabanowicz mruczał i kłaniał się niziuchno obiecując wszystko a wszystko.

— A jakże, jakże!—wolał obłożony komisarz—ja wszystko co tylko odemnie zależy uczynię! Ale bardzo chętnie! z całego serca! Bardzobym się ucieszył! Samo z siebie! Nieskończenie mi będzie przyjemnie, jeśli w czém użytecznym być potrafię.

— Niech pan będzie pewien mojej wdzięczności,—rzekł w końcu Mateusz—przy pierwszym widzeniu uczulem taki szacunek dla p. Podkomorzyny i dla panny Anny, że nie kryję się z tém, jakbym sobie życzył, żeby projekt p. Sędziego przyszedł do skutku. Wiem ja, że pan dobr. masz w tym domu zaufanie: chciejże tam przy okoliczności słówko za mną powiedzieć.

A pan Balabanowicz ciągle stojąc na trzęsących się nogach i poprawując peruki, którą zsuwał prawie na oczy, odkrywając z tyłu łysinę, powtarzał:

— Z całego serca! panie dobrodzieju! z całej duszy! Niech pan dobrodziej będzie pewien! Nie omieszkam! Samo z siebie! Za tak zacnym obywatelom! Samo z siebie.

Nareszcie wynurzywszy się posiadali. Balabanowicz był tego podpity, jak się pokazywało z oczu, które nabrawszy niezwyčajnego blasku, jeszcze się zdawały zmniejszać co chwila i już tylko, jak dwie drobnutkie gwiazdy na niebiosach, na czerwonej twarzy jaśniały.

Powoli Sędzia zaczął zwracać rozmowę na konie.

— A już kto znawca i amator to p. Balabanowicz!—rzekł. W całym sąsiedztwie niema takiego koncsera.

— Łaska to pańska!—odrzekł uśmiechając się napity.—At! czlek się to niby zna i lubi.

— Któżby znów koni nie lubił!—rzekł pan Mateusz—ja zawsze z upodobaniem zatrudniałem się niemi! mam nawet stadko, mogę powiedzieć nie brzydkie.

— Pan dobrodziej ma stadko?—zapytał oblizując się Balabanowicz.

— A jeśli pan ciekawy, każe wpędzić na dziedziniec; od takiego znawcy dobrze posłyszec zdanie, co też powiesz o moich konikach!

— Ale to subiekcyal!

— Nic, nie! konie tu są blisko, każe zaraz przypędzić. Hej! jest tam który! Słyszysz, przypędzić tu stadko przed ganek.

— Zaraz panie!

W kilka chwil zatętniał dziedziniec i zwawe stadko pokazało się przed oknami. Wyszli wszyscy na ganek. Balabanowicz swoim nieznacznym spojrzeniem z podelba wnet przebiegł hasające konie, policzył, rozpoznał i zaczął chwalić.

— Ten konik—rzekł—dobrej rasy!

— Po tureckim ogierze!

— O! to zaraz znać, z grzywy, ogona i ze składu całego! Ta klacz także piękna! a czy młoda?

— Trzy w czwartym.

Ona jeszcze się złoży i zgrubieje!

— A zapewne.

Nareszcie wybryknął przed gankiem tegi koń gniady.

— A to siłuy i piękny koń!—zawołał Balabanowicz.—Co za pierś! Chodzi on już w zaprzęgu?

— Zaprzęgany na biczowych, otargany trochę!—

odpowiedział p. Matensz misternie. Czy mi się zdaje, czym podobną do niego trójkę widział u pana?

— Umnie?—zdziwiony rzekł skąpiec—a gdzież?

— Przechodzili gdzieś konie pańskie! w drodze...

— Być może, w istocie mam podobne.

— Tylko trzy?

— Trzy, tak jest, trzy.

— WPan dobrodziej naturalnie potrzebujesz czwartego, będziesz je zapewne czwórką przedawał.

Balabanowicz zląkł się, żeby mu po pijanemu nie kazano konia kupować i ponuro odpowiedział:

— Nie, nie, ja niekoniecznie potrzebuję! mam nawet upatrzonego podobnego?

— Ale mi się zdaje, że ten przyjdzie do trójki?

— To jest—tak—zapewne! Być może!—tylko...

— Bardzo bym rad, żeby mu się podobał, mógłbym mu go ofiarować!

Na te słowa osłupiał Balabanowicz, nigdy w życiu nie zdarzyło mu się tak znacznego podarunku otrzymać; zląkł się więc bardziej jeszcze niż niecszył, bo domysławiając się, że pan Mateusz nie czynił tego bez interesu, zaczął się domyslać jakichś zamiarów wielkich i chytrych z jego strony: nie potrafił więc odpowiedzieć, tak się zmieszał. Z jednej strony bardzo mu ten podarek, dopełniający czwórkę, na którą od roku pracował, pochlebiał; z drugiej bał się skompromitować i szukał po głowie, co by prócz ożenienia mógł knuć Sędzia z panem Mateuszem.

— Mnie się zdaje—podchwycił Sędzia, że to jak djabeł malował, do czwórki p. Balabanowicza!

— Juściż—przebąknął stary—dójdzie.

— A jeśli tylko przyjdzie do czwórki, niech go pan bierze. Miło mi bardzo tę bagatel ofiarować mu i polecić się jego przyjaźni!

Sędzia z drugiej strony szepnął w ucho.

— Pamiętajże, daj mu dobre słowo przed Podkomorzyną.

— Samo z siebie! i bez tego! Ale jakże!—mrucał stary lis. Ale na cóż ten prezent! Ludzie gotowi gadać.

— Powiesz, żeś kupił—przerwał Sędzia—a od nas nikt się nie dowie.

— Hm! hm! tego! hm!—Balabanowicz już się nie opiął i ścisnął rękę p. Mateusza, który dał znak ludziom, aby konia złapali i dysponował masztalerza dla odprowadzenia go do Złotej Woli.

— Za pozwoleniem pańskim, jeśli już jego taka łaska—przerwał stary—niech go nie do Złotej Woli, ale do mojej posesyjki, którą tam mam pod bokiem, odprowadzą.

— Bardzo dobrze!

Ta posesyjka szła rocznie tylko 50,000 złotych, a Balabanowicz zyskiwał na niej prawie drugie tyle.

Zmierzchało już kiedy nazad z ganku do pokoju powrócili; tu już wrzał poncz w wazie, i zaczęto pić znowu: wkrótce stary koniarz językiem le dwie nieczłowiecznie obracał, a gdy usnął zupełnie, p. Mateusz z Sędzią, trzeźwi wysunęli się do drugiego pokoju.

— No, wiesz ci—rzekł Sędzia siadając w krzesło—Balabanowicz ujęty i wszystko pójdzie dobrze; starym tym lisem nie można gardzić, ale też i nfać mu zbyt wiele się nie godzi! Kto wie co on tam sobie myśli, a że tylko dla swego interesu ro-

bi zawsze wszystko, trzeba chcą go mieć za sobą, pokazać mu w tym jego korzyść.

— Rozumiem—odpowiedział Mateusz—mogę go osłepić okazując chętkę mieszkania w mieście i zamiar powierzenia mu moich interesów. Będę przed nim grał rolę nie lubiącego bardzo szczerze wglądać w interes, będę utyskiwał na brak uczciwych ludzi, plenipotentów i dójdę nawet do zaproponowania mu...

— Rozumie się, że tego potem nie dotrzymasz—przerwał prędko Sędzia—byłoby to największe głupstwo w świecie!

— No! no, nie bój się, dam ja sobie rady, bądź pewien. Ale wieszże Sędzio, jakiego ja mu konia darowałem?

— Pewnie ma jaką wadę ukrytą!

— Niejedną, ale kilka. Są jednak tymczasem tak zamaskowane, że gdy się odkryją, stary nie będzie nawet śmiały posadzać mnie: spadnie to na karki jego ludzi! Spleczony i bez kłęba!—na ucho poszeptał p. Mateusz śmiejąc się cicho—w dodatku ściga się jucha!

— Wybornie! doskonale!

— Uprowadzając Podkomorzynę—odezwał się po chwili Sędzia—która niezawodnie zechce widzieć stan waszciniego majątku, potrzeba odkryć go przed Balabanowiczem, jak się tylko dobrze przetrzeźwi. Masz waćpan długi?

— Kto ich nie ma?

— Wszystkie są intabulowane?

— Ani połowa.

— No, to dość pokazać te, które są w aktach.

— Masz wać jakie kapitały?

— Mało znaczące i w niepowodnych rękach.

— Ja waści dam skrypt kondyktowy na sto tysięcy złotych, antedatowany o rok; możesz go nawet oblatować, dawszy mi kwit, który ja do czasu schowam: tym sposobem fundusze twoje pokazać się większe na oko.

— Niechże twoje nóżki ucałuję, mój Sędzio, za te ojcowskie rady i pomoce! Oto przyjaciel, oto człowiek! Czy nie potrzeba ci czego? czy nie żądasz czego do wygody, jeść, pić! dysponujże w moim domu! zmiłuj się! rozkazuj, dobrodziej! Prawdziwie, głowę tracę i nie pojmuję jak ci się wywdzięczę!

— No! no! daj temu pokój!—odpowiedział Sędzia—ja nie potrzebuję wdzięczności. Będę dość rad i zadowolony, jeśli się waszeć ożenisz dobrze. Co się tyczy stanu twoich interesów, ja to sam przed Balabanowiczem, niby nie chcący się wygadać, a ty daj pokój i spuść się zupełnie na mnie. Każ dawać wieszczę, a ja go pójde obudzę.

Sędzia wszedł z cicha do pokoju, w którym spał komisarz pani Doroty i przekonawszy się, że ten spi w istocie, przewrócił krzesło, żeby go obudzić.

Łoskotem tym wyrwany ze snu stary, schwycił się i nie wiedząc co się z nim dzieje, porwał za łaskę, usiłując co najlepší oczy otworzyć.

— Ha! zasnąłeś sobie trochę!

Na te słowa Balabanowicz przyszedł zupełnie do przytomności i bardzo pomieszany. zaczął się wymawiać.

— Prawdziwie, bardzo przepraszam, jakoś...

— Ale i ja spałem! rzekł Sędzia, tak nas ten pan Mateusz spoił tym morskim ponczem.

— Prawda, pozwoliliśmy sobie trochę nadto.

— No, niema nic złego w przyjacielskim domu! Co tam.

— Ale ja—pierwszy raz!

— O! zachciałeś uważać na to! Sam gospodarz to lubi: kiedy gości spoi, cieszy się tym i raduje, a gniewa się na tych co pić nie lubią!

— Któżby to nie lubił!—szepnął Bałabanowicz prostując się i poprawując na sobie odzienie.

— Zapewne, mój laskawco! Ale podobno, że już mają dawać wieczkę. Trzeba wybić klin klinem, napijem się kminkówki! Jakże on ma wódki ten Mateusz, ot to dopiero zobaczysz!

— Czy nie będzie za dużo!

— A cóż tam znowu za skrupuły! Co było a nie jest, to nie pisać w rejestr. Jużśmy poncz przespali, teraz chodźno do wieczery.

I wzięwszy pod rękę starego, Sędzia poprowadził go do jadalnej sali.

Tu już nakryto było do stołu i służący na tacy wnosili właśnie ze szcście flasz wódki do wyboru; gospodarz gatuukował wino przy drugim stoliku: gdy weszli szepnął coś prędko słudze i zawrócił się do nich prosząc na wódkę. Bałabanowicz wstydząc się swego snu, robił minę panny młodej nazajutrz po ślubie, jednakże, gdy go zapach goldwasersu zaleciał, napił się dużym kielichem i raźniejszy już siadł do stołu.

Kuchni Mateusza nikt zarzucićby nie nie potrafił: ten czcił swego żołądka, lubił jeść smaczno i wytwornie. Totóż Bałabanowicz przywykł do tłustej kuchni pani Podkomorzyny, od szafranu, piernikowego sosu i białych podlewek, zjadł z całą żarłocznością skąpcę, który radby się napchać na pół roku, gdy go to nie nie kosztuje, a podniebienie lechce. U siebie nieborak żył tym, co stara gospodyni uwarzyła dla czeladzi. Dopiero przy trzeciej potrawie zaczęto rozmawiać, podjadłszy już dobrze. Słudzy raz wraz napelniali kieliszki, lecz uważniejszy od p. komisarza, byłby postrzegł, że jemu inne, a gospodarzowi i Sędziemu inne wino nalewano: p. Bałabanowicz jednak wcale tego manewru nie uważał i pelen strachu, żeby się znów nie upić, ile razy ujrzał kieliszek przed sobą, nie potrafił się oprzeć nagabaniu do wypróżnienia go. Z początku kosztował, kosztował, potem jednym łykiem kończył. Natychmiast sługa przystępował i nalewał nowy, od którego bronić się i wynawiając stary, w końcu pozwalał napelnić, z warunkiem, że to miał być ostatni: tych ostatnich było kilkanaście.

Przy stole wszczęła się znowu rozmowa o koniach, a p. Mateusz skorzystał z niej zalecając Bałabanowiczowi, aby się kazał uważnie obchodzić z darowanym koniem, gdyż był delikatnej natury. Tym sposobem zręcznie uprzedził go, żeby kalectwa, jakie się znajdują, nie jemu, lecz złemu obchodzeniu się przypisał.

Począł znowu Sędzia zaczął o domu pani Podkomorzyny, o pannie Annie, o projektach swatostwa. Bałabanowicz uśmiechał się, jadł, pił i niekiedy z pełną gębą jadł odzywał się ze swym:

— Samo z siebie!

— Jakże ci się zdaje—spytał go Sędzia—czy to się nam uda?

— A jakże! niezawodnie!—zawołał upijając się do reszty stary—ja w tym, że to się uda!

— Zdrowie pana Bałabanowicza!

— Zdrowie przyszłych małżonków!—rzekł podnosząc się a chwiejąc komisarz!

— Szampańskiego!—krzyknął gospodarz.

I wnet strzelił korek, zabielał szampan w długich kieliszkach, powtórzono zdrowia wszystkich;

pozwolono sobie nawet nieprzytomnej pani Podkomorzyny i panny Anny zdrowie wypić, przeciw czemu runiany znowu i ledwie bełkoczący Bałabanowicz, ani się myślał protestować. Około północy, jeszcze na podkurek wypiwszy poncz, poszli wszyscy a raczej zawlekli się do łóżek: Bałabanowicz był cały siny jak nos indyka, kiedy się pogniewa i napuszy.

W.

KONKURY, POLOWANIE NA BAŁABANOWICZA.

Takim sposobem Sędzia z panem Mateuszem, obmyśliwszy wszystko, zapewniwszy sobie pomoc Bałabanowicza, który nieomieszkał wychwalić i podniebiosa wynieść konkurenta, pokazawszy mu stan majątku fałszywie, ale do okoliczności stosownie; zabierali się ostatecznie już kończyć. Całe sąsiedztwo nie o tym jeszcze nie wiedziało, wszyscy spokojni siedzieli i ani się nikt nawet tego knowania nie domyślał. Sędzia zaraz w dni kilka stawił się w Złotej Woli i zastawszy w różowym humorze panią Podkomorzynę, oświadczył jej od pana Mateusza prośbę, aby raczyła dać swój *Konsens* jego odwiedzinom, w celu pozyskania affektu J.M. panny Anny. Najpomysłniejszą otrzymał odpowiedź, którą już uprzedzona przez Bałabanowicza nagotowała była p. Dorota. Jej najbardziej pochlebiali te grzeczności i te ceremonie, które przypominały młodość i p. Podkomorzego.

Całkiem fałszywe mając wyobrażenie o p. Mateuszu, cieszyła się, że tak zacny i majątny kawaler starał się o jej siostrzenicę. Co się tyczy Anny, ta ledwie się domyślać mogła o co chodzi, stąd, że jej ciotka kazała się starannie ubierać i w pokoju dosiadywać przy gościu. Przeczuciwała jednak wszystko, nie wiedząc o niczym, i modliła się pocichu, aby od niej Bóg odwrócił tego, jak innych. Nie wiedząc bowiem sama czemu, czuła ku panu Mateuszowi ten wstręt instynktowy jakiś, który zawsze zwiastuje, że się człowiek strzedz potrzeba: nie darmo dała nam to uczucie natura, jestto przestroga jej, często lekceważona, a bardzo jednak ważna!

P. Mateusz jak kot przy kominie, pochował swoje pazurki i pokazywał się w Złotej Woli takim, jakim się mógł i powinien być podobać. Z największą bacnością pilnował godzin, zaglądał do zegarka, pieścił psy, ustawiał krzeselka na miejscu, z westchnieniem mówił o dawnych czasach, wychwalał dawne zapomniane zwyczaje. Słuchała go z radością pani Dorota, a gdy jeszcze począł ją wypytывать o nieboszczyka Podkomorzego, o zdrowie piczków, i chwalić Bałabanowicza, jako wzór wierności i pracowitości, wznosił ją do siódmego nieba. Łatwo pojąć, że tym sposobem p. Mateusz wkraść się prędko w łaski pani Doroty głębiej niżeli ktokolwiekby inny. Sam on pewny już był wygranej, lecz dla oka i starodawnych zwyczajów, przedłużał konkury, za co zresztą ciocia wdzięczną mu była.

Z Anną był grzecznym ale zimnym Mateusz, nie ciskał się do niej, w obec tylko ciotki czasem ją zagadnął zdaleka. Zawsze poważny, pelen uszanowania, nie okazywał żadnej miłości i po starodawnemu jak się to u rodziców starano o pannę, tak on konkurował o nią u ciotki. Biedna dziewczyna przestraszona nie pojmowała tego, jak będzie mogła zostać żoną takiego człowieka. Znała go ona

od razu; postępowanie Mateusza w oczach Anny, dalo miarę obludy, na jaką mógł się zdobyć. Wiedział, że nie o nią, nie o jej przywiązanie, serce, osobę, lecz o posag jej starał się. W głowie jej się zawracało i nieraz łzy gorącemi zlewała w nocy poduszki, myśląc jakiemu ją człowiekowi oddadzą: im dłużej bowiem konkurował Mateusz, tém bardziej przekonywała się, że nie być przeciw niemu nie może, tak z pewnością trafił do słabości pani Doroty i potrafił ująć ją sobie. Domyślała się zdaleka napiętych sieci, słysząc nieraz pochwały oddawane mu przez Balabanowicza, najpospolicięj ganiącego wszystkich: słudzy nawet byli z pewnością ujęci i przekupieni, żeby go chwaili.

I gdy ona napróżno modliła się, żeby ją Bóg od szpon tego złośliwego ptaka ocalił, wszystko przeciwnie jej życzeniu, a stosownie do jego zamiarów naklaniało się: codziennie Mateusz bardziej w łaskę ciotki się wkładał.

Chociaż nikt nigdy przed nią o zamiarach pana Mateusza nie mówił, chociaż jakby naumyślnie zostawiono ją na boku; ona widziała tę odgrywaną się komedię, trafnie każdą tłumaczyła sobie czynność i coraz częściej płakała. Przyszłość jej okazywała się w prawdziwym, smutnym świetle rzeczywistości. Pojmowała myślą jakiego będzie życie z człowiekiem, który się żeni dla widoków pieniężnych i który wszystko z siebie zrobić potrafi, byleby dopiął swego celu. Porównując znajdowanie się jego przy pierwszej bytności z następnym postępowaniem, zrozumiała, że w przeciągu czasu oddzielającym pierwsze od drugich odwiedzin, zajęć coś musiało, że Mateusz zna słabą stronę ciotki i korzysta z niej rozmyślnie. To przydało jeszcze jej ku niemu odrazy, która wkrótce w rodzaj nienawiści i wstrętu zmieniła się, o tyle, o ile pełne łagodności serce Anny wstręt i nienawiść pojmowało. Tak, drżąc nad swoim losem, miesiące całe, Anna, badała postępy, jakie Mateusz czynił w łaskach ciotki i coraz bliższą widziała się niechybnej już zguby.

Naturalnie obrażało ją prócz tego, że Mateusz nic wcale na nią prawie nie zważał, ale bardziej jeszcze oburzała się na myśl, że on zapewne sądził ją bardzo ograniczoną, kiedy się tak mało maskując, aż do śmieszności pani Dorocie pochlebiał niecierpliwie.

Nieraz brała ją chętka okazać mu niechęć i wzgardę, dać mu do zrozumienia, że wszystko pojmuję i widzi, ale nie mogła się nigdy na to odważyć. W milczeniu więc jak winowajca, który patrzy na budujące się dla niego rusztowanie, spoglądała na gotujące się jej zamęcie. Nie wiedząc o polowie nawet chytrych zabiegów Mateusza i Sędziego, z ich oczu, z ich szeptów, z miny domyślała się otaczającego ją spisku. Oni zaś obaj, tak byli pewni, że Anna musi być posłuszną ciotce, że się nawet nie starali pozyskać jej względów i traktowali ją jak konia, którego by kupiec u pana targował.

W takichto okolicznościach zeszła prawie cała zima i miało się ku wiosnie, gdy w skutek narady Sędziego z p. Mateuszem, wypadło, ażeby dobić i kończyć. Tu naturalnie pomyśleli, że należało znowu przez Balabanowicza dowiedzieć się ze szczegółami o posagu i pogadać o interesach, a przez niego natchnąć panią Dorotę względem uczynić się mającego wydziału z majątku dla siostrzenicy.

Znowu tedy Sędzia pojechał do posesyjki pana Balabanowicza, i pod pozorem rady jakiejś dla chorego konia, zawiózł go do Brzozówki do p. Mateusza: tu już poufał do niego przystąpili, nie skąpiąc pence i obietnic. Ażeby nie wydać się ze swoją myślą, zaczęto naprzód od koni, o których prawie cały wieczór była mowa: dopiero podpoiwszy pana komisarza, Sędzia niby w pół żartem zaczął rozmowę zdaleka.

— E! Wpan-bo, panie Mateuszu—rzekł wracając się do niego—powinienbyś już kończyć swoje konkury, mielibyśmy weselisko!

— Samo z siebie!—odpowiedział Balabanowicz susząc kieliszek—nielibyśmy weselisko!

— Wszakże wątpić nie można—dodał Sędzia—że pani Podkomorzyna nie odmówi ręki siostrzenicy p. Mateuszowi?

— Samo z siebie—rzekł znowu stary.

— Już kiedy p. Balabanowicz tak mówi, to możesz być swego pewny—Sędzia dodał—no, a kiedyż zrękowiny?

— Takto państwu o tém mówić—odpowiedział p. Mateusz udając powagę i zamyślenie—ale potrzeba, abym wprzód był pewien, że nie będę miał wstydu.

— Już kiedy ci p. Balabanowicz ręczy—rzekł Sędzia—to wyslij tylko mnie z oświadczeniem, potem sam plackiem do nóg; będą zaręczyny, a dalej, dalej po Nowym Roku—wesele.

— O! jakżeby był szczęśliwy!—krzyknął Mateusz—ja, co tyle mam szacunku dla tego domu, a mianowicie dla samej Podkomorzyny, kobiety tak szanownej, tak—zresztą zjadł mrucząc—godnej, tak...

— A przytém tak bogatą—dodał Sędzia żartobliwie, chcąc rozmowę pokierować na majątek. Balabanowicz usłyszawszy te słowa, jakby go febra porwała, rzucił kieliszek i pierwszy raz przysła mu myśl, że mąż siostrzenicy może go zdezonizować i wyzuć z zarządu majątku. Była chwila, w której po niewczasie załął się i pożałował udzielanej przez siebie pomocy; potrafił jednak być do tyła panem siebie, że się w kształcie uśmiechu wymówił.

— A—tak—bogatą!—dodał cicho po chwili.

Sędzia i pan Mateusz po sobie spojrzeli.

— Mnie o to najmniej chodzi,—rzekł obojętnie konkurent—wszakże wiesz Sędzio, że chociaż nie tracę majątku, rządzić nim nie lubię i kłopotów jakie idą za interesami nie cierpię. Gdyby nie to, że czując prawdziwy szacunek ku pannie Annie, postanowiłem starać się o nią, dawnobym prosił pana Balabanowicza, żeby moje interesa przyjął na siebie, a sambym wyjechał.

Stary lis, spojrzawszy w oczy mówiącemu, jakby usiłował z nich wyczytać, czy prawdę szczerą mówi; ale Mateusz tak doskonale grał rolę obojętnego, że go oszukał.

— Toż samo—mówił dalej gospodarz—gdybym miał co po żonie, pewniebym jakiemu uczciwemu człowiekowi oddał w zarząd.

Czyżto być może—pomyślał w duchu Balabanowicz, żeby on mnie miał za uczciwego! Osobliwsza rzecz, pokazuje się, że to głupi człowiek. Tém ci lepij. Odehrząknął pomyślawszy to i spojrzawszy śmiejąc. A Sędzia podchwycił.

— Jużciż pewnie, pani Podkomorzyna da co po siostrzenicy?

— A—a—jakajac się Balabanowicz wybąknął, coś da! Samo z siebie, że coś da...

— Naprzykład? rzekł Sędzia.

Komisarz obejrzał się, bojąc się czy go nie chcą złapać, ale się upewnił, gdy pan Mateusz, wcale ni-
by nie uważając o czém była mowa, przerwał.

— Nalewajcie wina!

— Naprzykład?—powtórzył Sędzia.

— Ja tego nie wiem—rzekł Bałabanowicz—lecz myślę że—tu się zaciął, a Sędzia zaraz powtórzył łapiąc go.

— W Pan myślisz że....

— Ja myślę, że nie nie wiem—szepnął Bałabanowicz—bawiac się kieliszkiem. Jednakże....

— Jednakże co?

— Pani Podkomorzyna może teraz dać jaki kapitał.

— A! mnie się to nie zdaje!—zawołał Sędzia, nie lepiej dla niej wypuścić jaki folwark: naprzykład Dorotyński?

— Te—te—te—bąkał Bałabanowicz—ja tego nie wiem.

Sędzia z p. Mateuszem postrzegli bojaźń Bałabanowicza, a zżeczny konkurent, zaraz pochwylił.

— E! co tam da, to da! Tu się uważa honor połączenia z tak szanownym domem! A z resztą jeśli mi puści folwark jaki, wcześniej sobie pana upraszam za komisarza pełnomocnego: a jeśli zechcesz wziąć w posesyę, gotów jestem choćby dziś kontrakt podpisać?

Cóżto za głupi człowiek, wszak on mi wierzy!—myślał Bałabanowicz, ale uśmiechając się uklonił i rzekł:

— Pewnie puści jaki folwark.

Mateusz trącił łokiem w bok Sędziego i mrugnął na niego.

— Jaks łaskaw panie—mówił konkurent—dajże mi słowo, że mi nie odmówisz! słowo honoru?

— A, a, a—samo z siebie! bardzo jestem—jestem, za zaufanie—ufanie—jąkał się Bałabanowicz. Jakiż on głupi! pomyślał w duchu.

— Niechże ci podziękuję!—dodał porywając się od stołu Mateusz i biegnąc go uściskać, mój szanowny.

Bałabanowicz odsunął krzesło i cały chwiejący się, ścisnął wzajem Mateusza, myśląc sobie:

— Ależto czysty waryat! wszak on mnie ma za pocziwego człowieka!

— Wina! wina!—zawołał gospodarz—wypijemy zdrowie pana Bałabanowicza mojego od dziś plenipotentą: podano, wypito, a komisarz nie posiadał się z radości. Przychodziło mu wprawdzie na myśl czasem, że sobie z niego żartują, tak to dla niego nową było rzeczą widzieć tyle zaufania i szacunku, u obcych, kiedy u Żydów nawet miał najpowszechniejszą reputacyę szachraja; jednakże nie nie okazywało, żeby to nie miało być szczerem, i nakoniec wziął to wszystko za dobrą monetę.

— Dorotyński, to dobry majątek—rzekł Sędzia wracając do rozmowy—folwark w pszennej ziemi, lasy towarne, nad rzeką....

— Dochody małe, małe—odpowiedział Bałabanowicz, jeszcześmy go nie urządzili.

— Zawszeto tak bywa—rzekł Mateusz—póki się majątek nie doprowadzi do należytego porządku.

— Tak! samo z siebie! ale to dobry majątek.

— A i Kijany nie zły?—zapytał Sędzia.

— Tak! samo z siebie, ale rzadki urodzaj tam i bardzo nieomłotne..

— Ale jak się urządzi—znowu zakończył gospodarz.

— Za lat kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt—dodał

pocichu plenipotent, oddalając termin tego urzędzenia.

— Zapewne!—przerwał Sędzia—majątek czasem lat kilkadziesiąt musi się regulować, osuszać, zabudowywać!

— Samo z siebie! potakiwał Bałabanowicz, dziwując się w duchu głupstwu tych panów, którzy nawzajem śmieli się z jego łatwowności.

— Ale comy tam gadamy o majątkach, przerwał Mateusz, ot lepiej Sędzio poradź jak tu mamy z oświadczeniem zrobić?

— A cóż? rzeczy przygotowane, pani Podkomorzyna nie od tego? prawda panie Bałabanowicz?

— Samo z siebie!

— Więc w tych dniach kończmy. Ja z Wpanem pojedę, oświadczy się z regułą, plackiem do nóg upadnie i pośpieszy z zaręczynami. Trzeba, żebyś Wpan przygotował pierścionki i podarki.

— Jużto nie bój się Sędzio, ja w niczem nie chybię, co się tyczy zwyczajów.

— Oświadczenie może się odbyć w niedzielę. Zwyczajnie pani Podkomorzyna prosi znajomych z kościoła parafialnego na obiad do siebie, więcęć zapewne nikogo nie będzie tylko my dwaj; po obiedzie tedy, upatrzwszy chwilę *solemniter* oświadczy się, co daj Boże szczęśliwie: a zatém wypijmy przyszłych sukcesów i słodkiego szczęścia w pożyciu z siostrzenicą Podkomorzyną!

Podniesiono kielichy, Bałabanowicz choć pijany, lecz jak pijak z profesyi, nie tracąc zupełnie przytomności, wszystko co słyszał notował i pamiętał. Nasi spiskowi mniśnię znowu głośno się z tém przed nim wygadywali, aby Podkomorzynę uprzedził o niedzieli, i przeskody jakieby zaproszenie czyjeś na obiad stawilo, usuniono. Nie wątpili oni, że teraz równie już sobie Podkomorzyna życzyła p. Mateusza, jak Mateusz tego zamęzcia; a wreszcie tak uroczyście zamówiwszy Bałabanowicza na plenipotentę, gospodarz był pewien, że on mu wyrobi puszczenie przynajmniej jednego folwarku w posagu po Annie.

Tak nastroiwszy wszystko i udarowawszy jeszcze jakimś koniem Bałabanowicza, późno w nocy rozejchali się spiskowi.

Stary lis nie chciał żadnym sposobem nocować i wymawiał się jakimś w okolicy jarmarkiem, uwierzono temu, znając go za największego szachraja na konie, bez którego żaden się najlichszy jarmark nie odbył.

Lecz zaledwie Bałabanowicz był za bramą, uwinął się w wilczurę wytartą i spojrzawszy na oświecony dwór p. Mateusza, tak z sobą rozmawiał:

— Albo ja głupi, albo on: albo on mnie oszuka, albo ja jego! Czy to być może, żeby on mnie miał za niezciwego człowieka? Czy nie drwił on sobie ze mnie. Ale nie! Oni chcieli ze mnie wyrozumieć co Podkomorzyna da po siostrzenicy, jam się im tego wywinał i nie nie powiedziałem. Trzeba jechać do Podkomorzyny i oznajmić ję o wszystkiem. Niechaj ona nie wyzuwa się z majątku, kto wie czy p. Mateusz zrobi komisarzem czy nie? a ja może....

I tu nie śmiał nawet sam sobie głośno swoich zuchwałych myśli powierzyć.

— Niech Podkomorzyna da panience 50,000 złotych, to i to dosyć tymczasem, a zresztą głuchą, ustną obietnicę zapisu, bez wyrażenia ję w intercyzie. Kto wie? kto wie?

Dumał sobie znów coś niewyrozumiale p. Bałabanowicz poprawując peruki.

— Przy zaręczynach nie będzie mowy o posagu wyraźnej, a jak przyjdzie pisać intercyzę, złagodzimy pana młodego obietnicami zapisu całego majątku, gruszkami na wierzbie... bo kto to wiel szta, Bałabanosiu! to się rozumie! Poprawił peruki i odezwał się do furmana!

— Do Złotej Woli!

W.

PRZYGOTOWANIA.

Na zegarze w sieniach domu Złoto-wolskiego biła jedenaście rana, gdy zganku wszedł powoli opierając się na lasce i poprawiając peruki Bałabanowicz. Twarz jego po wczorajszej wieczerzy nosiła ślady przepicia; miał sińce pod oczyma, a tam gdzie czerwony trąd nie pokrywał policzków, żółta wyglądała bladeść. Z wzrokiem wlepionym w ziemię, powolnie, cicho, szedł ku tak zwanemu pałacowi i zamyślony głęboko kwadraus ocięrał nogi na słomiance, potem spojrzał na zegar i powoli otworzył drzwi do sali. Na palcach po płótnie przeszedł ją, i z cicha skradł się do pokoju pani. Chrząknął wreszcie.

— Kto tam?—ozwała się pani Dorota...

— Bałabanowicz.

— Proszę Waćpana,

Otworzył i wszedł p. komisarz, a naprzód przywitawszy panią, obejrzał się i uspokoił, gdy ujrzał, że Anny nie było w pokoju.

— Cóż tam słychać?—zapytała Podkomorzyna zdejmując z nosa okulary i chowając je do futerała, odsuwając karty, otwierając tabakierkę i częstując go tabaką, którą on z przyzwyczajeniem uszanowaniem wzięwszy, zażył, kichnął i uklonił się, a potem wyprostowawszy, odpowiedział zwyczajem dawnym:

— Nic dobrego, pani.

— Przecież, co tam robisz?

— Kazalem tłócić po folwarkach, ale zboże nadzwyczaj nieumlótnie!

— Takto u nas zawszel—odpowiedziała Podkomorzyna—dawniej jeszcze nimeś waćpan przybył tu, choć nieuregulowane były majątki, ale intratniejszel!

— Lepsze boto były czasy!—rzekł komisarz—silniej poprawiając peruki i zaraz dołożył:

— Byłem wczoraj z Sędzią, u naszego konkurenta.

— No! no! i cóż tam?

— Zamysławia tu zjechać w niedzielę i oświadczyć się!

— Doprawdy!—zawołała porywając się Podkomorzyna—tak prędko?

— Tak, uprojektowali sobie! Ale z respektem winnym pani, jużby warto pomyśleć o tém!

— O czym?

— A o tym konkurencie.

— Wszakżeśmy już myśleli?

— Wartoby się naradzić o intercyzie...

— Ja myślę tymczasem oddać im Dorotyńki—Bałabanowicz pod trądem poblądł, udawał jednak zupełną spokojność.

— Jak się podoba pani—rzekł—w istocie to nawet majątek nieintratny. Ale jeszcze nieuregulowany, i jak się w cudze ręce dostanie...

— Myślisz, Bałabanowicz, że p. Mateusz nie potrafiłby sobie z nim dać rady?

— A zapewne, młody człowiek! Potém widzi pani, co innego kiedy jeden zaczyna i jeden kończy, co innego...

— Już ja to rozumiem—odpowiedziała—chodząc po pokoju Podkomorzyna. Ależ przecie muszę coś dać siostrzenicy?

— Samo z siebie. Ale mnie się z respektem, zdaje, że jakby pani wyznaczyła jaką sumkę, na co się pani ma wyzuwać?

— Masz racją Bałabanowicz, a jakążby sumkę?

— Naprzykład 50,000 złotych, to umiarkowany posag, jaki zwyczajnie się daje. Wszystkie tu panny w okolicy nie mają nad 50,000.

— Masz racją, ale z jakichżeby tu pieniędzy?

— Można by dać oblig na panu Radcy...

— Bardzo niepewny.

— Jużciż niepewny, a wszakże siostrzenica weźmie wszystko po pani.

— Masz racją Bałabanosiu: tymczasem...

— Tymczasem...

— Niechby sobie dochodzili téj summy. Wyprawę można policzyć na trzydzieści tysięcy.

— Większą część zostawiła na to s. p. siostra moja, a matka panny Anny.

— Tego w intercyzie niema potrzeby kłaść, czy matka, kto tam o tém wie. Reszta wyprawy ułatwi się za tysięcy dziesięć, a w intercyzie zapisze się złotych 80,000. To jest znaczna summa.

— Masz racją, Bałabanosiu! A którato wybiła?

— Pół do dwunastej!

— Tak tedy—powiadasz—powtórzyła po chwili Podkomorzyna, 50,000, a 30 wyprawa?

— Zapewne, mnie się zdaje, że to będzie dosyć—odpowiedział komisarz kręcąc na łbie perukę. Jesliby zaś p. Sędzia, jako przyjaciel obu stron, proponował pani jakie odstępstwo i zrzczenia się którego folwarku na rzecz siostrzenicy, niech pani odpowie, że ona i tak weźmie wszystko. A w istocie na co się pani wyzuwać ze wszystkiego od razu? stareto przysłowie, którego z respektem nie chcę powtarzać przy pani, co powiada, że póty się zalecają, póki co czują. Jakby od razu wzięli majątek, potemby jeszcze na starość, której daj Boże doczekać (mądry Bałabanowicz, jeszcze ją kładł w czasie przyszłym i nie bez przyczyny) pani sama była na ich lasce. Ja co tyle lat służę temu domowi i wszystkiego szczęścia mu życzyć, nie radzę, abyś pani od razu po siostrzenicy wiele dawała: niech się zasługują. W intercyzie téż niema potrzeby kłaść żadnej obietnicy zapisów, niech się zasługują, powtarzam, a tak pani zostaniesz swojej woli panią, a oni będą musieli dependować i szanować.

— Bardzo ci dziękuję za te rady Bałabanowicz—odpowiedziała Podkomorzyna—masz racją, masz racją niech się zasługują!

— A niech pani, z niemi w pisma nie wdaje się żadne, kto to wie! jeszczeby podejść mogli! to się zdarzało. Ale jeśli co dadzą do podpisania, to pani weźmie niby do rozpatrzenia i wprzódby mnie zakomunikuje.

— Masz racją, bardzo ci dziękuję Bałabanosiu, a nieodjeżdżaj proszę w niedzielę, żebyś był na podoręczu, gdybym cię potrzebowała. Podobno to już południe? he?

— Właśnie bije dwunasta.

— Czemużto nie dają obiadu? I tu zadzwoniła pani Dorota: wpadła Aniela służąca rozczołrana i przestraszona.

— Czemu nie dają obiadu? Gdzie panna Anna? pewnie już do swego ogródka zaczyna chodzić!

Toćto jeszcze nie wiosna! Posłać po nią! A gdzie pieski. Żolka pewno gryzie w sali nogi od stolika. Panie Bałabanowicz, musiałeś ją wypuścić nieuważnie...

— Nie pani! dalibóg nie!

— Gdzież Żolka! hej, poszukajcie Lamurka! A dawajcie do stołu!

Tu się dał słyszeć dzwonek na dziedzincu zwołujący wszystkich ludzi na obiady, Jan otworzył drzwi i rzekł:

— Do stołu danol!

— Proszę waćpana, panie Bałabanowicz!

Począł mierzonym krokiem Podkomorzyna uwiejszy kluczyki u pasa, poszła wiodąc za sobą Bałabanowicza do sali jadalnej, położonej przez sieni z drugiej strony domu i ozdobionej starymi obrazami familijnymi, kredenscin, tojest ogromną starą szafą za szkłem, wielką ilością krzesel trzećią wypłatanych i białą oleju malowanych. Drzwi do połowy zamurowane z boku, służyły starym zwyczajem, do podawania potraw z kuchni przynoszonych, jakto dziś jeszcze w refektarzach klasztornych widzieć można...

Już zasiedli do stołu, gdy Anna wywołana z ogródka weszła do sali, cała zdyszana, zarumieniona i spodziewająca się już niechybnej burzy.

— A waćpanna—odezwiała się pani Dorota, nigdy się nie możesz do porządku przyzwyczaić. Jakoż można zapomnieć o dwunastej i obiedzie. Zawsze potrzeba posyłać za tobą, szukać, to dla panny wcale niepięknice? Gdzieżeś waćpanna była?

— W ogrodzie!

— Cóż teraz można robić w ogrodzie jeszcze ziemia nie rozpuściła zupełnie! A! byleby tylko latać i swawolić!

Podany rosół dalszy ciąg uwag zatrzymał.

Po obiedzie, p. Bałabanowicz pożegnał panią, która wedle zwyczaju pół godziny sypiała a Anna przez ten czas obowiązana była utrzymywać policyą nad psami, aby snu jej nie przerywały. Zaledwie przebudziła się Podkomorzyna, zegar druga wybił, jak gdyby coś sobie przypomniła: zaczęła niespokojnie się oglądać, zażyła tabaki, utarła nosa, zawołała psy i raz wraz spozierając na Annę, zdawała się chcieć zawiązać rozmowę.

Anna nie widząc tego, rozmyślała, pocichu płacząc i lzy swoje kryjąc starannie.

— Chodźno waćpanna tu! Taki by początek przemowy, na której głos zdrząła dziewczyna, domyślając się czegoś nadzwyczajnego i niepomysłnego.

— Waćpanna wiesz—rzekła pocichu Podkomorzyna—że się o nią stara p. Mateusz.

— Ja tego nie wiem—odpowiedziała cicho Anna.

— Jakto?

— Nikt mi o tém nie mówił.

— Aleśto widzieć mogła.

— Nie uważałam, aby dla mnie szczególniejszą okazywał grzeczność.

— A, bo ta się mnie należy—rzekła Podkomorzyna. Jakże się on aspannie podoba?

— On się mnie wcale nie podobał.

— Co! Jezu Chryste! Co! on się aspannie nie podobał, aspanna śmiesz to mówić!

— Wszakże ciocia mnie spytała?

— Ale nie spodziałam się tak głupiej, bezwstydnej odpowiedzi. Aspanna więc myślałaś i rozważałaś i zastanawiałaś się nad tém?

— Tylko w tym momencie.

— Ale jakże aspanna śmiesz to mówić! Czy nie

wiesz, co powinnaś na zapytanie ciotki twojej i dobrodziejki w takim razie odpowiedzieć?

— To co myślałam, sądziłam...

— Aspanna nie powinnaś myśleć! Powinnaś była odpowiedzieć: jeśli wolą jest cioci żeby mi się podobał, to podobał mi się, jeżeli nie to nie...

Siostrzenica milczała. Ciocia ciągle zażywając tabakę, gderiała.

— On się o aspannę stara i w niedzielę ma się oświadczyć, ja go akceptuję, i rozkazuję podobnie uczynić! Spojrzała na Annę, Anna stała łzami zalana.

— Czegożto aspanna płaczesz?

— Ach! ciociu—zawołała Anna padając jej do nóg—nie zmuszaj mnie, abym szła za niego! Ja będę z nim nieszczęśliwą!

— Słyszałaś, a toż co? Aspanna pozwalasz sobie rezonować! Zkądżeto wiesz, że będziesz z nim nieszczęśliwą! A to także coś osobliwego! Aspanna jesteś bardzo zuchwała! Pójdź precz Żolka! precz mówię Żolka! Aspanna więc jesteś rozumniejszą odemnie, kiedy myślisz, że to co ja robię, nie będzie z twojem dobrem! Słyszanao rzecz! Jaja mędrze od kur! Otóżto owoce modnej edukacyi! Pójdź precz Żolka! A nie pójdiesz?

— Ja nie chcę iść za męż—cicho mówiła dalej Anna—ja wolę zostać przy cioci i pielęgnować ją w starości!

— W starości! cóżto, czy ja jestem stara! A tożto co? Aspannie się ponieszało w głowie, rozum straciłaś.

— Ja wolę pójść do klasztoru...

— Aspanna nie masz do wyboru, to zrobisz co ja każę! Jeszcze sobie pozwala mieć swoją wolę i wybierać! Tego chcę, tego nie chcę! Ja jestem twoja dobrodziejka i opiekunka, mnie twoi rodzice ciebie oddali, i powinnaś mi być posłuszną. Idź aspanna do krosien, no! cóżto są znowu za lzy! Idź sobie, idź! Żolka precz z kanapy, nie poczeiwa suka!

To mówiąc mocno rozgniewana Podkomorzyna wzięła karty i okulary, siadła przy stoliku i zaczęła kłaść kabałę. Anna już się więcej nie odezwiała, ale płakała nad robotą. Ciotka kładąc kabałę spoglądała na nie ukradkiem i ruszała ramionami zacisnąwszy nsta.

VIII.

Z A R E C Z Y N Y.

W niedzielę, paradnie poubiérani pan Sędzia i Mateusz zajęchali do kościoła, wkrótce po nich zatoczyła się też stara karetka Podkomorzyny, w której siedziała ona, Anna i służąca Aniela. Po summie i kazaniu przy wyjściu z kościoła, submitowali się nasi dwaj panowie Podkomorzynie, która ich raczyła na obiad zaprosić.

Od dawna już sąsiedzi czegoś się domyślali, lecz ten ostatni wypadek, strojny ekwipaż Sędziego i Matensza powóz sześciokonny, czułe z podkomorzyną u drzwi kościelnych powitanie, spuszczone oczy Anny, a wreszcie chodzące już głuche wieści, urodzone z baków, które po pijanemu na jarmarkach strzelał Bałabanowicz, potwierdziły domysły. Wszyscy zajęli się tém mocno, jedni ciesząc się z wesela, drudzy ubolewając nad losem panny, trzeci przecząc złośliwie: ci ostatni należeli do kategorii odprawionych z kwitkiem przez Podkomorzynę.

U proboszcza, dokąd parafianie zbierali się zawsze na przekąskę i plotki, o tém tylko była mowa. Każdy swoje wiadomości drugim komunikował, szeptano, śmiano się, ruszano ramionami i dzięki nowemu przedmiotowi, zabawiano dłużej nadzwyczaj w plebanii. Wypili dwa razy więcej wódki i zjedzono unostwo chleba z masłem, wędzonych kielbas i sera z kminkiem.

Tymczasem karetą Podkomorzyny i powozy Sędziego i Mateusza, wtoczyły się w dziedzińiec Złoto-Wolski. Było już po południu, zatem obiad gotów i *immediate* nsiedli do stołu. Rozmowy były nudne, sztywne i bez duszy jak mieszkańcy Złotiej-Woli; dopiero gdy Podkomorzyna przebudziła się i weszła do sali, z całą paradą nastąpiło w obec panny Anny oświadczenie. Podkomorzyna ze wszelką przyzwoitością i powagą, ani spojrzawszy na Annę, oświadczyła panu Mateuszowi, że go przyjmuje. Zostawało mu tylko podziękować: upadł więc do nóg jak należało pani Podkomorzynie *primo loco*, następnie pannie Annie. Anna była milcząca, blada i łzami zalana, przez cały czas słowa nie wyrzekła; ale gdyby był na nią spojrział konkurent i umiał czuć, albo nieczucia cenić, byłby się przestraszył. Łatwo poznać było w niej ofiarę, która w milczeniu przyjmuje nieszczęście, chociaż je widzi strasznym.

Naznaczono zaręczyny za tydzień i polecono p. Mateuszowi sprosić swoich znajomych, byleby nie więcej nad osób dwadzieścia; Podkomorzyna ze swojej strony miała także niektórych sąsiadów listownie wezwać.

Anna wybiegła z pokoju, gdy pan Mateusz odjeżdżał; zalamana ręce i padła na łóżko: ciotka zaczęła ciągnąć kabałę.

— Jak uważam—rzekł Sędzia wsiadając do powozu—panna coś nie bardzo temu rada, miała minę przybitą!

— At, zacheiać—odpowiedział Mateusz—jeśli się boi mnie, to tém lepiej. O miłość jej nie stoję, będę ją miał i bez niej. Te wyrazy wymówił tak przykrym głosem, że sam Sędzia wzdrzygnął się słysząc je.

— Jednakże, pozwól sobie powiedzieć—rzekł z cicha, iż jesteś obowiązany uszczęśliwić ją i starać się, żeby jej z tobą dobrze było: tak przynajmniej powszechnie mówią.

— Ja ją biorę dla siebie nie dla niej—odpowiedział z brutalnym akcentem Mateusz. Co mi do tego czy będzie szczęśliwą?

— Bierzesz ją więc jak cielę na kuchnię...

— Nieinaczej—zawołał śmiejąc się Mateusz.

— A jeśli ona z tą myślą idzie za ciebie?

— Spróbuję kto z nas silniejszy.

— Ty widząc gotujesz się do walki?

— Całe życie jest walką, a ten mądry kto zwycięży, i nikt go nawet nie spyta jakim sposobem.

Gdy tych słów domawiał, Sędzia umilkł i mocno się zamyślił.

— Jestto głęboko zepsuty człowiek—rzekł w sobie—biada tej kobiecie? Ha! ha! cóż zrobić!

W istocie Sędzia, acz bez żadnych zasad, nie był jeszcze do tego stopnia zepsutym i egoistą, żeby miał pokłaskiwać panu Mateuszowi. Złakł się go nawet trochę i poczał żałować, że się z nim wdał. Pan Mateusz widząc się już u celu, i nie potrzebując. Sędziego, mało zważał na jego milczenie w drodze i tak zajechali do Brzozówki.

W Złotiej-Woli tym czasem czyniono przygotowa-

wania do uroczystego obchodu zaręczyn, we dwa dni całe sąsiedztwo częstowało się nowiną.

— Wiesz, że pan Mateusz się żeni?

— Któżby nie wiedział!

— Czy jesteś proszony?

— A jakże.

— Ten lotr? to osobliwsze małżeństwo!

— Mówią, że Sędzia najwięcej mu pomógł.

— Bałabanowicza także ujęli!

— O, to filuty pierwszej próby.

Inni użalali się nad Anną, mianowicie zaś kobiety przewidujące łatwo los, który ją czekał. Dobroto przysłowie: *wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi!* znali wszyscy p. Mateusza, jako człowieka bez żadnych zasad, cgoistę przestraszającego; i żadna najuboższa nie byłaby się odważyła pójść za niego, tak był w opinii publicznej okrzykanym za domowego tyrana.

Familie obrażone odmówieniem ze strony Podkomorzyny, nie chciały się znajdować na zaręczynach i najsrożej szarpały urąganiem nowo składające się stadło.

Ciotka zaś, tak obojętna dla Anny jak wprzód, choć wiedziała, że jej to za mąż-pójście było przykrém, nie uważała na to wcale w przekonaniu, że po staropolsku, dzieci nie mają swojej woli, tylko rodziców lub opiekunów, którzy za nich obowiązani są myśleć, czuć i przewidywać. Przesadzone wyobrażenia o posłuszeństwie, które od młodu wpojone miała, nie mogły się pogodzić z oporem Anny, acz tak bojaźliwie jej okazanym: miało Podkomorzyna za rodzaj chwilowego obłąkania. Anna jak człowiek, który doszedł kresu niebezpieczeństwa i nieszczęścia, po łzach wkrótce, odrętwiała na wszystko i obojętnie już, przeraźliwem okiem rozpaczy, patrzyła na przygotowania zaręczyn i wesela: gdyż wesele odbyć się miało w kilka tygodni, a niebawem wyprawa panny młodej, łatwo się na ten czas ukończyć mogła.

Przyszła dzień zaręczyn: byłato uroczystość po staropolsku wystawna, pełna ceremoniału, ukłonów, komplementów, wykrzykników, cyfer, wiwatów, pijatyki i t. d., ale w gruncie smutna. Anna wedle zwyczaju strojna bardzo, była blada, milcząca, i oczy tylko napuchłe, czerwone, zwiastowały o walce, jaka się w niej odbywała. Ta postać smutna przykrym sposobem odbijała od ceremonialnej wesołości wszystkich i szalonego humoru pana Mateusza.

Ciotka jak zawsze prosta, sztywna, pilnująca przyzwoitości, wyglądała na swojej kanapie jak stare malowidło z ram wyjęte i na chwilę podżywione, ruszające się choć nie żywe.

Bałabanowicz w kącie pił za sukcesy młodych państwa, a z podelbą poglądał na Podkomorzynę. Sędzia chodził smutny i milczący. Reszta sąsiadów zbiegła się z tą jastrzębią ciekawością, z tą chciwością plotek, obaczzenia czegoś nieprzyzwoitego, dowiedzenia się tajemnicy, złapania jakiejś śmieszności, która tak panuje na wsi. Wszyscy oni zdawali się chodzić tylko i szukać po kątach, żeby mieli jutro o czém gadać i śmiać się. Mrugali na siebie, szturchnęli się, czynili sobie uwagi i już w myśli obliżywali się na mające wyrosnąć plotki. Ani teraz nawet p. Mateusz nie zbliżył się do Anny, ledwie ją przywitał, ledwie ją w rękę pocałował, przy zamianie pierścieni; potem winieszał się do młodzieży i ufając temu, że go Podkomorzyna nie dojrzy, puścił sobie cugle, tak długo zmuszony w tym domu, grać jak mówił, rolę sensata.

Z powodu tej wielkiej uroczystości, porządek życia w Złotéj-Woli, tak surowie utrzymywany, na dni kilka się przewrócił, co niezmiernie Podkomorzynę martwiło, która wzdychała za powrotem do pokoju i regularności. Tłum gości, przygotowania do ceremonialnego obiadu, zwiechnęły całkiem panią Dorotę. Bolało ją to najmocniej, że wiele osób niedość na nią wzgląd miało i zdawało się jej poważnej osoby nie widzieć: każdy bowiem poszukał sobie stosownego towarzystwa i bawił się jak mógł. Przy biednej Annie siedziały panny i młode mężatki, więcej zajęte jej strojem niż losem. Niektórzy z mężczyzn grali w karty, inni rozmawiali pocichu. Część męskiej kompanii paliła fajki na ganku: tu był i pan Mateusz, którego ciekawe otaczały postacie.

Był to naprzód długi, suchy, ospowaty, prosto trzymający się, jakby kij polknął, literat powiatowy, jenusz sąsiedztwa, pan Kunasowicz. Ten mówił tylko górnemi słowy, gesta miał teatralne, fizys z wyrazem tragicznym i wiecznie błakał się po nówie uczuć i niebie wspomnień; dodajmy do tego, że nie znał pisowni i szkół nie skończył.

Za nim siedział myśliwy z profesyi, otyle rubacha, który o niczem nie myślał, tylko o brzuchu i o polowaniu.

Dalej satyryk powiatowy, który miał przywilej bezkarnie ze wszystkich żartować, niedowarzone swoje koncepta co chwila po głowach puszczać i w oczy nieprzyjemne rzeczy wszystkim mówić. Był on także jednym z gastrolatrów, to jest czcicieli żołądka, których sekta tak w naszym kraju jest pospolita.

Potem byli jeszcze: powiatowy medyk, który wszystkich traktował *Leroy*, powiatowy stryjaszek, dobry sobie głupiec, z którego drwil kto chciał; powiatowy skąpiec, do którego kieszeni wszyscy się uciekali o pieniądze; agronom co na 24 pola podzielił swoje łany i miał już merynosy: wreszcie ksiądz wikary, który się tym odznaczał, że śpiewał przy gitarze i fajkę palił.

Ci Ichmość wiedli ciekawą rozmowę, której ułamek pozwólcie sobie udzielić:

Ksiądz wikary puszczając kłęb dymu do powiatowego stryjaszka. Pan fajki nie pali?

Stryjaszek. Na piersi mi szkodzi.

Skąpiec. I na kieszeń.

Medyk. I na żołądek, bo żołądek....

Literat. O jakiejże nieszlachetnej części ciała panowie wszczęliście rozmowę.

Gastrolatry. Co ten plecie!

Agronom. Moje olejne rośliny bardzo dobrze prosperują.

Literat z westchnieniem. Ten znowu o olejnych roślinach. Zaiste niema teraz ludzi, którzyby o czem wznioślejszem pragnęli umysły zetrzeć. Ja w prawdziwej żyję pustyni, niepojęty, niezrozumiany, jak palma, która niszczy w piaskach dalekiego suchego morza dzikiéj Arabii!

Satyryk-gastrolatr. Co ty tam mruczysz? a wiesz ty, że masz minę śledzia na rożenku?

P. Mateusz do sąsiada. I prawda to, że się p. Aloizy o moje narzeczoną starał?

Sąsiad. Najistotniej.

P. Mateusz. Ale cóż za śmieszny człowiek, że teraz tu przyjechał!

Sąsiad. Zapewne był ciekawy zobaczyć W pana.

P. Mateusz. Smutnato ciekawość.

Literat głośno do skąpca. Pańskie oblicze zwiastuje jakiś szwank na zdrowiu?

Skąpiec. Ja jestem całkiem zdrow.

Medyk. Dawno ci radzę wziąć *Leroy*.

Literat. Zaiste nie każdemu z śmiertelnych zdolne jest to lekarstwo przewrócić drogę a najszacowniejsze z darów niebios zdrowie.

Ksiądz Wikary. A nie jednegośmy po niem pochowali.

Literat. Smutnyto, lecz pełen zasług stan, który wam duchownym nakazuje stawieć się na głos cierpienia od kolébki do mogiły.

Gastrolatry. A dadzą tam wieszczę? Jeść się tego już chce! Przynajmniej żeby wódki i przekąski podali.

Ksiądz Wikary. Jak się ma W Mości ogierek?

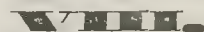
Sąsiad. Zdrow już zupełnie.

Gastrolatr. Patrząno, coto za piękna dziewczyna?

Wszyscy prawie. Gdzie? gdzie? gdzie?

Literat. O cóżto za ludzie, których lada piękność ziemiska i znikoma tak zajmuj!

Wzdycha....



W E S E L E.

Równie uroczyste było wesele, które Anna Izami oblała. Zdawszy się na wolę Bożą, szła do ołtarza jak ofiara, milcząca, zimna, modląc się tylko w duszy, bo mimo tylu przeciwności nie postradala ufności w Boga, którą słabsi ludzie tak prędko za pierwszym cierpieniem tracą.

A naprzód zmieniły się bardzo miny p. Mateusza i Sędziego, gdy do intercyzy przyszło. Tu pokazało się, że Balabanowicz albo nie nie zrobił, bo nie chciał, albo, że nie mógł. Rad nie rad p. Mateusz musiał milcząc a kląć w duszy, przyjąc 50,000 posagu, a 30 w wyprawie i jeszcze oprawę żonie w podobnej summie na swoim majątku zmuszony został uczynić. To mu zupełnie humor popsulo, byłby się cofnął, gdyby Sędzia z jednej strony, z drugiej nadzieje późniejszych zapisów ciotki, nie trzymały go.

Powtórę, Izawa postać panny młodej mimowolnie go dręczyła i była mu jakby ostrym wyrzutem, który potrafił się dobić twardego egoisty serca.

— Jeśli taką będziecie całe życie! — myślał — wesołoż mi będzie w domu!

Przygotowania do wesela były jeszcze wspanialsze, niż do uczty zaręczyn. Wielka liczba gości sproszone, muzyka z pobliskiego miasta, beczki wina i miodu dla czeladzi, cyfry, wystrzały nawet nie były zapomniane. Kucharzy kilku pocilo się nad sosami od tygodnia, po ryby posłano mił dzieścię, dwadzieścia po zwierzyńce, czterdzieści po wina. W oczach Podkomorzyny byłyto wielkie dobrodziejstwa dla Anny!

Wśród tej wrzawy chodziła ona blada, milcząca, smutna i nieprzytomna, a pan Mateusz zły i zmuszony gniew swój ukrywać, siniał ze złości. Sąsiedztwo gotowało się na zbieranie płotek z całych sił.

Zrana o godzinie jedenastej podpisano intercyzę, państwo młodzi już byli gotowi, ołtarz w kwiaty ubrany w sali jadalnej, kobierzec rozesłany, bukiety poprzipinane.

Poprowadzono ich prosić błogosławieństwa, z padaniem do nóg i tą czulą ceremonią, zebrzącą życzeń pomyślności, u najuboższych sług nawet, nawet u nędzarza.

P. Mateusz odbywał to jak przechadzkę po pokoju, patrząc w inną stronę; tylko tyle jeszcze był łaskaw, że nie świsiał.

Stanęli u ołtarza: ksiądz wikary błogosławił; Anna odpowiadała po cichu, ale wyraźnie, pan Mateusz jakby kogo łajał. Jeszcze ksiądz czytał nad niemi ostatnią modlitwę, i miał wzywać przytomnych za świadków, gdy Anna wysiłona długo tłumioném uczuciem, zawołała:

— Ach!—zachwiała się, padła i zemdlą.

Trudno opisać, jak to wszystkich zmieszało: pani Dorota chciała być nieszczęśliwą, miała jej to za jakiś występki, pan Mateusz wzruszał ramionami, sąsiedzi szeptali, a kobiety jedne co rozumiały położenie Anny, płakały. Wyniesiono ją z pokojów, mąż nie pobiegł za nią, lecz z mężczyznami na fajki, ciotka poszła wprawdzie, ale w intencji czynienia wyrzutów, skoro tylko siostrzenica przyjdzie do zmysłów. Tymczasem szczęśliwi z podanej zręczności goście rozpierchnęli się i tyśiące potworzyli z tego wypadku bajek i plotek. Nazajutrz powiadano o młde, że zemdlą, o dwie, że umarła, o trzy, że mężowi oczy wydarła, o sześć mił słyhać było, że się na weselu wszyscy poturli. Takto im dalej, — tēm wspaniałej zawsze rozchodzą się plotki, nie słabnąc lecz nabierając siły. O cudowna siła!

Nim uroczysty i ceremonialny obiad podano, wytrzeźwiono panią-młodą, złożono mdłości na osłabienie pochodzące z choroby jakiejś i osadzono państwa nowopobranych na rogu stołu jedno przy drugim. Wszyscy uważali, że do siebie słówka nie przemówili przez cały ciąg obiadu. W czasie toastów i klaskania z biczków pod oknami, podniosła się Anna i znowu omdlała: przecież otrzeźwiono ją, nie odprowadzając od stołu. P. Mateusz czując jakie z tych mdłości plotki i historie urosną, wściekał się ze złości; p. Dorota z tegoż samego powodu jeść nie mogła, sąsiedzi tryumfowali, a mianowicie kategoria odprawionych z kwitkami przez Podkomorzynę. Nareszcie późno już skończył się obiad, a goście czekając rozpoczęcia tańców, porozchodzili się podochoćceni dobrze winem, które Bałabanowicz im razem i sobie tak serdecznie doléwał, że w końcu obiadu runął pod ciężarem swoich obowiązków pod stół, i nie powstał z placu boju, aż nazajutrz.

Tańce rozpoczęły się od uroczystego polskiego, otwartego z panią-młodą; po niej w drugiej parze szedł pan Mateusz z panią Podkomorzyną, dalej cały ogon par chichoczących, szepających, spozierających na siebie, kończący się drobnymi dziećmi wyprostowanemi mocno, ażeby się słusniejsze zdawały.

Gdy się to dzieje w sali, tymczasem ksiądz wikary staropolskim zwyczajem, z kropidłem i księgą, idzie poświęcać łóżka!

Już północ, a jeszcze tańczą jedni, piją drudzy, już po północy jeszcze trwa zabawa, już się na dzień zabięra, a p. Mateusz wyrwa się ukradkiem z sali i bieży do pokoju sypialnego.

Otworzył drzwi i zawołał na służę.

— Podaj mi fajkę, szlafrok i pantofle!

Spojrzał, obejrzał, obszedł, ale próżno, bo swojej żony nie znalazł. Rzucił ze złością rękawiczki i wyszedł z pokoju, biegnąc do pani Doroty.

— Gdzież jest moja żona?

— Gdzie! Spodziéwam się, że w sypialnym pokoju.

— Niéma jej.

— Jaktó niéma? wszakże się rozebrała.

— Ale gdzież się podziała?

— Cóżto jest! w Imię Ojca!—zawołała pani Podkomorzyna—biegnąc do sypialni. Otworzyła drzwi, szukała okiem, zatrzasła je za sobą i załamała ręce.

— Gdzież ona się podziała?

— Alboż ja mogę wiedzieć?—odpowiedział pan Mateusz—szarpiąc na sobie suknie. Cichoż już z tēm! Niech pani nie rozsyła, nie mów! Ludzieby się śmieli....

— Ale co mi waśc prawisz—rozogniona wołała pani Dorota, biegnąc—ja ją muszę znaleźć! To szalona dziewczyna! to kara Bozka.

I tak dobrze wypytywała się o panią-młodą wszystkich, że w kwadras całe towarzystwo o jej znienieniu wiedziało; młodzież śmiała się, starzy głowami kiwali, p. Sędzia niemy siedział w kącie, a Mateusz zapaliwszy fajkę, położył się na łóżku, klnąc ożenienie swoje i obicując sobie wcześniej, mścić się swojego wstydu na żonie.

Gdzie była Anna? Ona płacząc wybiegła na ogród do swojej altany, i mimo chłodu dopadłszy swojej ulubionej ławeczki, na której najrozkoszniej przedumała chwile, siadła, zaczęła płakać, nakoniec zemdlą znowu osłabiona.

Słudzy z pochodniami rozbiegli się po ogrodzie, naturalnie stary ogrodnik poprowadził ich do ogródka Anny; znaleźli ją tam bez duszy leżącą i nie mogąc się dotrzeźwić, wnieśli bezprzytomną do sypialni. Tu ledwie otwarła oczy ujrawszy ciotkę i męża, osłabła raz jeszcze, tak, że trudno się jej było docucić.

P. Podkomorzyna, która w życiu swoim nie doświadczała mdłości, chyba z niestrawności, krzyczała, że to są udawania i szarpała biedną. Ledwie ją złamał potrafiłono wyprawić pełną gniewu i niecierpliwości, gdy już siostrzenicę zabięrała się trzeźwić rękami. Został p. Mateusz, który również nigdy nie mdlał, a czytał *Spazmy modne* i całe życie drwił z omdlenia wszelkiego rodzaju: stał jak posąg z szyderskim uśmiechem w ustach.

Gdy się sami zostali, on postawił fajkę i odezwał się do modlącej Anny.

— Dośże już tego udawania, moja pani; doś tych łzów, mdłości i nabożeństwa. Ja nie jestem tak głupi, żebym temu wierzył. Bardzo fałszywe masz o mnie wyobrażenie, jeśli mnie bierziesz za jakiegoś sentymentalnego waryata. Uprzedzam panią od dziś dnia, że to ze mną nie uchodzi, że jestem srogi i bardzo srogi i nie znoszę nieposłuszeństwa. Widziałem tysiąc razy podobne sceny i wiem co one znaczą! cha? cha! Trafiłaś na człowieka, z którym trzeba rozumnie postępować i zaniedbać tych niepotrzebnych czułości. Jesteś moją, chociaż widzę, że ci się to nie podoba; ale się stało i nie odstanie! Chcesz z mojej strony łagodności: bądźże posłuszną i zapomnij o mdłościach. Co ja, to długo nie zapomnę i nie daruję, żeś jest przyczyną tych plotek, tych baśni, które od dziś dnia przyczępią się do nas.

Anna modliła się i klęczała, a gdy mąż kończył swoją szyderskim tonem daną naukę, ona powstała, podniosła ręce i cicho rzekła:

— Bądź wola Twoja!



POŻYCIE.—BAŁABANOWICZ.

Zdaje się, że z poprzednich czynności łatwo już odgadnąć cały charakter p. Mateusza. Byłto, jakżeśmy widzieli, egoista bez najmniejszego współczucia dla drugich, usposobiony ku temu po części organizacją, po części wychowaniem i początkami życia. Pozbawiony także uczucia, które popolicie zwiemy sumieniem, utrzymującego równowagę czynności ludzkich ze sposobem widzenia ich wewnętrznym, nie doznawał zgryzot nigdy, nie zastanawiał się nad tem co czynił; szedł tylko za interesem swoim, a zmierzając do tego celu, środków nie wybił.

Niektórym pocziwam a prostodusznym ludziom wyda się to może przesadzonem, lecz niestety! są tacy ludzie. Zakrywają się oni powierzchownością mniej więcej znośną, gdyż jakieś uczucie przyzwoitości nie pozwala im zupełnie obnażyć się przed ludźmi, chyba w ostateczności: w domowym pożyciu dopiero odkrywają się oni ze wszystkiem. Tu samoluby nie chcą sobie nawet zadać pracy ukrywania swego bezecnego charakteru, mało dbając o szacunek otaczających osób, bezwstydnie okazują się im w całej szkaradzie swojej.

Tyrani domowi nie cierpią najmniejszego sprzeciwienia się swęj woli, nie chcą uczynić najmniejszej ofiary z siebie, a wszystkim każą nagiąć się posłusznie przed sobą i służyć namiętnościami, chętkom, kaprysom. Tacyto jednak ludzie nieraz uchodzą w opinii za zacnych obywateli, surowych ojców familii, lecz sprawiedliwych i rozumnych; gdy w istocie sąto zbrodniarze, którym do dopełnienia zbrodni większej, brakło tylko okoliczności lub śmiałości: są bowiem tchórze jak wszyscy egoiści.

Takim był i pan Mateusz, a życie Anny z nim nie wiem czy nawet malować potrzeba. Któż nie pojmie coto było za życie? Z jednej strony uległość, poświęcenia niestanne, męczarnie, z drugiej nielitościwe wymagania coraz nowych ofiar, znęcanie się i przemysłne dręczenie. Egoiści mają w sobie coś natury dzikiego zwierza, lubią męczyć i pojmują tę dla innych tak niepojętą rozkosz tyraniowania słabszych. Mateusz im powolniejszą sobie, im uleglejszą, łagodniejszą widział Annę, tém sam bardziej się srożył, więcej wynagał i wszystko co czyniła złém znajdował, dlatego tylko, żeby ganić. Nawet w sposobie odzywiania się do żony miał pan Mateusz intencją męczenia, bo nigdy inaczej nie powiedział słowa, jak tonem albo rzeczcią urągając się, szydząc, znęcając.

Dodajmy do tego, że w obec ludzi zmyślał czułość i wymuszał na żonie, żeby jej troski domowe maskowały się wówczas sukienką szczęścia. Przy gościach Anna musiała się uśmiechać, mąż przemawiał do niej z łagodnością, naprowadzał ją na kłamstwa i zmuszał do nich, bo biedna żona jakże mogła mu przeczyć? Tak naprzykład, chytry opisywał nieraz przy ludziach swoje szczęście domowe, zmyślał jakieś niepraktykowane czułości dla żony, wzywał ją na świadki jakiegoś wypadku całkiem niebyłego; a ledwie drzwi się za świadkiem obcym zamknęły, zapadała kurtyna, kończyła się komedia, i zimny egoista wracał do naturalnej postaci.

Anna znosiła to jak anioł! Przekonawszy się, że

użalanie na cierpienia, innego skutku nie sprawia, tylko podbudza jeszcze męża, do wymyślania męczarni, milczała cierpiąc i nie wydawała, że cierpi. Ile razy p. Mateusz poznał co jej niemilem było, wysilał się, żebyto stokroć powtórzyć i nasycić się jej męką. Anna więc chcąc sobie ulżyć musiała udawać zupełną na wszystko nieczułość. Z równą pilnością trzeba było kryć co przyjemność czyniło, bo Mateusz nie omieszkaby zagrozić jej drogę do najmniejszych nawet rozrywek: rozważyć więc położenie tej kobiety, i pojmijcie jej męczarnie.

W domu była ona tylko pierwszą sługą męża, a to pierwszeństwo nadawało jej przywilej smutny odpowiadania za wszystkich i wszystko. Cokolwiek kto złe zrobił, pani wszystkiemu była winna, pani za każdego odpokutować musiała. A jednak nic do niej nie należało, żadna część zarządu domowego, żadne rozporządzenie dochodów; nie a nie: najcięższe tylko, najnudniejsze a mało ważne czynności były jej udziałem.

Może być, że pierwsze chwile po weselu byłyby inną, cokolwiek znośniejszą barwę przybrały, gdyby temu nie stanął na zawadzie zbieg okoliczności. A naprzód p. Mateusz rozgniewany omdleniem żony i plotkami jakie ztąd wynikać mogły, już się nie krył z swoją niechęcią i gniewem, odkazywał się z zemstą od pierwszego wieczora. Powtórze zawiódł się na posagu i choć to miał tylko za chwilową przeciwność, nie mając na kim, poszukiwał swego zawodu na żonie. Ciotkę szanował i skarbił jej łaski w nadziei zapisów, o żonę zaś nie dbał wcale, wiedząc, że musi mu być posłuszną. Tak od pierwszych dni poczęły się męczarnie, które szydząc z czułości Anny, z upodobaniem mąż jej zadawał. Gdy przybyli do Brzozówki, zapowiedział jej dalszy ciąg życia, określił obowiązki i rozwinął niejako przed nią całą perspektywę nieszczęścia i udręczeń.

Anna nic nie miała coby właściwie do niej należało w domu woli, nawet w najmniejszej rzeczy. Jestto własnością egoistów, że rozwijając swoją wolę na jak najobszerniejszą skalę, nie cierpią manifestacji jej w drugich, z niemi żyjących. Anna nie mogła włożyć sukni, nie mogła wynieść z domu, nie mogła płakać nawet, bez zezwolenia i sankcyi p. Mateusza. Nielitościwy samolub mieszał się we wszystko, wtrącał się w każdą rzecz. Jeśli jechali w odwiedzin dyktował jej strój, nakazywał minę, uczył ją co mówić miała, kształtował ją całkiem na swoje wyobrażenia.

Tak, oprócz wszystkiego, Anna jeszcze cierpieć musiała na tém, że się nawet taką, jaką była w istocie, okazać nie mogła. Niepodobna jest opisać szczegółów tego wymyślnego męczeństwa.

Los każdego sługi znośniejszym był od jej losu, bo w życiu z takim człowiekiem cierpienie rosło w stosunku zbliżenia, a nikt nie był ciągle bliższym poezwary nad nią.

Anna wychowana religijnie, przywykła do delikatnego obchodzenia się, do zachowywania pewnych regul przyzwoitości, nie знаła nigdy całej szkarady, na jaką się wyuzdany zdobyć może człowiek; świat nie pokazał jej się nigdy w czarnej swęj sukni, krwią i łzami zbroczonęj, opily, chwielającej się, bezwstydną: mąż zaś usiłował zabić w niej wszelki wstyd, wszystkie złudzenia, wszelką wiarę w cnotę, starając się pokazać, że ludzie są zawsze interesowani, że wszyscy są tacy jak on. Nie zważając na to, że ją tém kalczył najdotkliwiej na

wszystkich nadziejach, obnażał przed nią złą stronę świata, najgorszą stronę swoją i otaczających ludzi, pokazywał jej egoizm we wszystkich czynnościach. obludę co krok, pracował nad jej zepsuciem gorliwiej niż inni nad ukształceniem pracują. W tych szyderskich jego uwagach, których ona zmuszona była słuchać, wyprowadzał po jednym wszystkie wiary poetyczne, niewinne, dziecięce, oglądał je z urąganiem, rozbićrał, analizował, przedstawiał pod nie kontrasta i niszczył urok najslodszy życia, dowodząc, że złe jest prawdą, a cnota fałszem.

Kiedy się ona ze łzami oburzała, on z uśmiechem nastawał, nasycając się jej niewinnością walczącą z ziarnem złego rzuconem w czystą jej duszę. Tym sposobem nagle przedstawił jej Mateusz odwrotną stronę znajomego świata, czarną, plugawą, paskudną jak on sam był; kazał jej wierzyć, że czysta i piękna strona życia istnieje tylko w wyobraźni i jest uludną; lecz mimo swoich usiłowań, nie potrafił on wszczepić w nią wiary w zło i swojego piekielnego egoizmu. Poznawszy z jego nauk czarną stronę, Anna wierzyła w białą i za sen, za omamienie brała plugawą rzeczywistość, którą on jej tak starannie dowodził.

Trudno powiedzieć, co miał w tém za cel mąż: był on spokojny o żonę i pewny jej cnoty, może więc dlatego, że swoim instynktem męczenia chciał ją tylko udręczać, zabijając w niej najslodsze pociechy, znajdowane w wierze i nadziei. Nie rachował wcale, jakie skutki wyniknąćby mogły z zepsucia jej, a w swojej nieublaganej woli, na wszelki przypadek, miał ratunek, który zepsuciu nawet, siłyby nie dał objawić się uzynkami.

W pierwszych chwilach nic nie zrówna podziwieniu i zgrozie, jakie przejęły Annę, gdy się jej przyszłość, straszniejsza nad wszelkie okazała pojęcia. Jakkolwiek życie w Złotój-Woli było przejściem osłabiającem wrazenie dawnych pieścozot rodzicielskich; jakkolwiek ciocia przygotowała ją do nieczułości, do nęgłości i posłuszeństwa bez miary: p. Mateusz ze swoim cynizmem bezwstydnym zdał się z początku czémś tak dziwnem, że czasem sądziła w prostocie ducha, że to wszystko tylko się jej śniło.

Ciotka acz sroga, aez w domu niecierpiąca drugiej woli, niepojmująca uczuć innych, prócz uczucia boleści żołądka i gniewu (amplifikacja), była jeszcze i czułą i najczulszą przy p. Mateuszu, który z profesji w nic nie wierzył, czego nie mógł dotknąć, namacać i sam nie doświadczył.

I to znowu jest egoistów przymiotem, że cały świat sądzą tak zbrdowanym, tak uorganizowanym, jak oni sami: nie przypuszczają innego człowieka, tylko na obraz i podobieństwo swoje: ale to mają wspólne z głupcami pewnego rodzaju.

Tak na przykład, p. Mateusz nie pojmował w żonie nabożeństwa i zwał je udawaniem, tak nie wierzył w litość i łzy, które miał za wymuszone, tak całkiem nie pojmował uczucia wstydu i możliwości poświecenia i wielu innych pięknych i potrzebnych uczuć. Nielitościwie wojując o to z żoną, przesładował ją co chwila o pobożne westchnienie, o wstydlivy runieniec, o grosz jałmużny i t. p. Najpopularniejszym jego orężem było dotkliwe szyderstwo, którym instynktowie umiał tak kierować, że zawsze najboleśniej ranił.

Jak w Złotój-Woli tak tu Anna nie mogła nawet mieć przyjaciółki: tam oddalały od niej nudne ceremonie domu; tu znajome sąsiedztwo zepsucie

i bezwstyd p. Mateusza. Bywał on wprawdzie wszędzie i wszyscy bywali u niego, ale ściślejszych stosunków nie miał z żadnym domem: kończyło się na zimnych raz w rok odwiedzinach. Mężczyźni zaś, którzy bywali u p. Mateusza i zwyczajne jego towarzystwo składał i, byli to ludzie jak on popsuć, lub mający ochotę popsuć się w obcowaniu z nim. Dla tych nie miał on żony i zabraniał im pokazywać się Annie: dzięki tej ostrożności, miała ona przynajmniej wolną chwilę wówczas, kiedy oni męża jej zajmowali. Usuwała się gdzieś daleko, żeby śmiechów i rozmowy ich nie słyszeć, brała książkę jeśli jaką znalazła, czytała lub myślała. Nieszczęśliwi dręczą się myślami, lecz lubią myśleć i zastanawiać się: szczęśliwi nie mają na to czasu.

Na tyle nowych a całkiem nieznanym eierpiem, przybyła jedna tylko nowa pociecha biednej Annie. Mąż jej pojmując użyteczność talentów, a raczej potrzebę ich dla popisu przed ludźmi, dozwolił jej przypomnieć to, czego się dawniej uczyła, a w pół zapomniana w Złotój-Woli. Sprawił jej fortepiano i nakupił rysunków, rozumieć się z warunkiem, żeby talentami swemi pisała się przy gościach, nie dlatego bynajmniej, żeby nieniosła dziej jej życie. Wszakże powrót do tych zatrudnień przypominających jej lata słodkie, dziecięce, a samych z siebie tak uprzyjemniających życie, wicłee je Annie osładzał.

Mąż nie pojmował sztuki, nie umiał czuć muzyki, nie miał na to zmysłu, który jest udziałem innej klasy ludzi, naśmiewał się równo z sentymentalnej muzyki i uczonej, ze śpiewów i koncertów, rozaniał jedne tylko pieśni pijackie; ale pozwalał grać żonie (byłoby mu do snu nie przeszkadzała) a i to było dla niej dobrodziejstwem.

W domu Mateusza nie było już tego posłuszeństwa godzinom; tu godziny i ludzie słuchali woli pana, niezułniejszej jeszcze, bo kapryśnej, niestałej i nigdy nie zaspokojonej. Życie w Brzozówce było wszystkim nieustanną tylko posługą, oczekiwaniem objawienia nowej żądzy ze strony pana. Anna, mówiliśmy już, była tylko pierwszą służą i odpowiedzialną za wszystkich. W początkach wszystkie te męczarnie stopniowo na nią spadające, któreśmy opisali wyżej, wprowadziły ją w okropne rozdrażnienie, niespokojność i oblakanie prawie; lecz gdy po dłuższem pobycie z mężem, obawa jej zmieniła się w pogardę, mniej już cierpiała i przewidywała możność zniesienia takiej doli.

Sędzia, ten przyjaciel Mateusza, który tak pracował, aby go ożenić, wkrótce zgłębiwszy charakter jego, usunął się ostrożnie. Nie pojmując wdzięczności p. Mateusz, który go już nie potrzebował, całkiem zapomniał o nim; natomiast przywiązał się do Bałabanowicza, spodziewając się przez niego wyrobić u pani Doroty puszczenie jakiego majątku. Pan komisarz zawsze równie chciwy trunku, dał się poić, dał sobie pochlebiać, obiecywał coś nawet, lecz w skutku nic nie robił. Pokorny, układowy, kłaniający się, na pozor nie daleko widzący, dawał się złowić, a potem jak piskorz się wymykał. P. Mateusz nie mógł mu wymawiać, bo nie wchodził nigdy z nim w żadne wyraźne układy, nieśmiał się mścić, bo się lękał jego wpływu na ciotkę i ze złością a wstydem wyznawał się w duchu oszukanym przez starego lisa.

Ten tymczasem rządził jak wpród całym majątkiem pani Doroty, kradł niemiłosiernie, a co chwila nabierał nad starzejącą się Podkomorzną

więcej przewagi, co chwila potrzebniejszym jęć się stawał. Od czasu jak Anna wyszła za mąż, Bałabanowicz zyskał był jeszcze u Podkomorzyny, która teraz zupełnie sama, nie wahała się nawet przypuszczać go do towarzystwa swojego i przez wzgląd na długie zasługi i trzęsące się nogi, wydała stanowcze pozwolenie siadania przy sobie w pokoju, wprawdzie zdaleka i na brzcčku krzeselka: zawsze jednak był to postęp znaczny. Kiedy Jan piérwszy tę nowość zobaczył, tak się tém zdziwił i przestraszył, że roznosząc nowinę cały dwór przewrócił, spóźnił się nawet obiad o pięć minut a Podkomorzyna na to nie uważała, zajęta rozmową. To wzbudziło nowe uwagi i podziwienie.

Bałabanowicz zawsze równie pokorny, czując się pożytecznym, z ludźmi nabiérał rozkazującego tonu, a pani jeszcze słodziej pochlebiał, dyktując co czynić miała. Coraz częściej wzywany z oficyny do pałacu, pan komisarz wręczał caly prawie dzień tam już przesiadywał. Słudzy zaczęli szcenić i powiadali, że na swoje oczy widzieli w końcu grającego w maryasza z Podkomorzyną.

Wież ta pędem błyskawicy rozeszła się po sąsiedztwie i najrozmaitszym plotkom powód dala. Byli tacy co rozumieli, że Bałabanowicz w końcu oswładnie tak Podkomorzyną, że nawet pieski wypędza z pokoju. P. Mateusz słysząc o tém milczał, ale się lękał znając ludzi ze złej strony, wszystkiego złego, o jakimby kto inny i pomyśleć nie śmiał. Kryjąc się ze swoją złością, ujmował Bałabanowicza, osadził go szpiegami, którzy mu każdy krok jego donosili, a tajemnie gotował wielką machinę przeciw niemu. Przecznpiwszy pisarza, który mu rejestra pisał, dostał ich kopią p. Mateusz, pozbiórał dokumenta świadczące o ich fałszywości i cierpliwie wyglądał chwili, w którejby mógł bez niebezpieczeństwa stanowczo uderzyć. Człou, że trudna będzie walka z osobą tak uprzedzoną, jak pani Dorota, a przytém tak ograniczoną i łatwowierną, rachował jednak wiele na jej skąpstwo, miłość porządku i pomoc sąsiadów, którzy mu przyrzekli świadczyć przeciw komisarzowi, na którego wszyscy prawie zli byli. Stary ani się domyślał spisku, i z całą spokojnością człowieka złego, który się ostrożnie zabezpieczył od szwanku, postępując codziennie w łaski pani, dumne roil nadzieje.

Ileć przy nim Podkomorzyna wspomniała o Annie i Mateuszu, tyle razy zręcznie tak ich umiał malować, żeby ku nim zniechęcić. Przygotowawszy zwolna panią Dorotę, okazywać zaczął niewdzięczność p. Matensza, który śmiał się uważać, że oblić dany mu na Rady, był bardzo niepewny; nastawał na to, że p. Mateusz nie wart był swego szczęścia i t. p. Pojmujęm tedy czemu pani Dorota coraz ku niemu zimniejsza, ani dawała sobie powiedzieć, żeby mu co więcej po synowicy wydzielić miała. Do tego przywiodły ją insynuacye Bałabanowicza, że żalowała, iż Annę wydała za niego, chociaż nie wiedziała o ich pożyciu domowém, ani wiedzieć chciała, ani wiedząc byłaby męczeństwo jęć pojęła. P. Mateusz nie domyślając się podstępów starego, zbroił się przeciw niemu, jedynie w widokach zagarnienia majątku, którego zarząd spodziewał się otrzymać. Gdy tak w milczeniu obaj się przeciw sobie gotują, nieprzewidziana okoliczność pomieszała szyki panu Mateuszowi i w chwili, kiedy już miał zadać cios śmiertelny, wytrąciła mu z rąk oręż.

DOPIAŁ SWEGO.

Był to wieczór, w pokoju pani Podkomorzyny paliła się na stoliku świeca pod umbrellką, psy spały na poduszkach, jejmość włożywszy na nos okulary i odebrawszy mlótki, zasiadała do maryasza z Bałabanowiczem, który utarłszy nosa i zwinawszy chustkę w naleśnik przysuwał sobie poufale krzeselko. Zegar w sieniach bił siódmą, służba była w kuchni, a Jan tylko jeden zasypiał na ławce i marzył o Anieli.

— Dziwi mnie to, Bałabanosiu—rzekła ciotka rozdając karty—że p. Mateusz tak rzadko i coraz rzadziej bywa w Złotój-Woli.

— Co pani chce—odpowiedział biorąc karty plenipotent—ten człowiek najniewdzięczniejszy! nie umie on szanować pani i wygląda tylko co najrychlej sukcesyi!

— Masz racją Bałabanosiu, można być—rzekła Podkomorzyna—ale tak się to nłożyło, takto udawało konkurując, jakby co pocziwego: ty sam byłeś za nim.

— Prawdąto pani—rzekł Bałabanowicz pociachu—ale teraz mnie nie oszuka. Widzę ją go przez skórę, jak drży niewdzięczny i wyciąga ręce po dobro mojej dobrodziejki, którego ja jak oka w głowie strzegę. Ach!—dodał wdychając—to mnie boli, że się to wszystko temu człowiekowi dostanie.

— Masz racją, Bałabanosiu—ze czwórdeściu! Dałam ci dublę! Ale cóż na to poradzić?

— Co? ja tego nie śniem pani powiedzieć.

— Przecież, mój Bałabanosiu?

— Prawdziwie, że tego nie potrafię powiedzieć—lękam się.

— Nie bójże się niczego.

— Pani mogłabyś pomyśleć o zamażpójściu!

— W Imię Ojca! Czyś ty oszalał! A tożto pięćdziesiąt i...

— A kto tam lata liczy!—odpowiedział prędko przerywając plenipotent. A pani Podstolina poszła zamaż w siedmdziesięciu, a pani Szambelanowa miała ich pewnie sześćdziesiąt kiedy po trzeci raz zawarła śluby! Wiadomo pani, że nie wiek starym czyni, ale niezdrowie. Dzięki Bogu, pani czérstwa jak rydz, zdrowa jak rybka i nie wygląda na trzydzieści.

— Pleciesz Bałabanosiu, pleciesz; ktoby zaś chciał się o mnie starać?

— I wicluby się takich znalazł! pani...

— Pochlebnik z ciebie...

— Toby dopiero była fimfa dla p. Mateusza—mówił Bałabanowicz—bo on tak już jest pewny sukcesyi, że radby moję dobrodziejkę, choć dziś widzieć na marach!

— Ach! cóżto za szkaradny człowiek, mój Bałabanosiu!

— Szkaradny, pani! szkaradny! a chytry jak wąż! On to i mnie stara się ułagodzić, próbując czy przecumnie nie trafi do pani; ale mnie nie przekupi! Spędziwszy tyle lat, mam przywiązanie i wierność nienaruszoną dla tego domu i dalbym się zarnąć za moję dobrodziejkę!

— Pocziwy Bałabanosiu! bądź pewien moję wdzięczności! Pocziwy!

— On tak tylko czyha, że wcześniej już porobił układy o dobra, które po pani na nich spaść mają.

— Czyżto być może?

— Tak jest! Wiem ja to z dobrych źródeł, całe sąsiedztwo wie o tym. Radbym szczerze, żeby mu pani odjęła nadzieję i wyszła za mąż.

— Masz rację Balabanosiu, ale właśnie to takie czasy, żeby kto chciał konkurować o mnie.

Staruszka składała to na czasy, wistocie pochlebiała jej myśl podana, ale próżno szukała sobie w głowie pary, nikogo znaleźć nie mogła. Po trzeci już raz dawszy dublę, odezwała się.

— Mówileś Balabanosiu, że wieleby się takich znalazło, coby chcieli konkurować o mnie, a powieźże mi choć jednego?

Przyciśnięty argumentem *ad hominem* Balabanowicz chociaż przygotowany był nieco do tego pytania, sam nie wiedział jak na nie miał odpowiedzieć; jednakże niezmiészany, tak zaczął:

— Znam ja jednego.

— Powieźże mi Balabanosiu! Któżto taki?—zawołała krygując się Podkomorzyna. —Któżto taki, zmiluj się.

— Nie wolno mi się z tem wygadywać—odpowiedział ostrożnie plenipotent.

— Ale zmilujże się, któżto taki?—z nową natarczywością zagadnęła pani Dorota.

— Kto, nie mogę powiedzieć, ale go opiszę—rzekł wywijając się z ręcznie Balabanowicz. Jestto człowiek średniego wieku.

— Średniego wieku! Któżto jest średniego wieku?

— Przyjemnej postawy....

— Przyjemnej powiadasz?....

— Dosyć przyjemnej. Człek znany z uczciwości.

— Z uczciwości! Któżbyto taki?

— Szlachcie, chociaż bez tytułu.

— Bez żadnego tytułu?

— Bez żadnego, ale o tytuł łatwo.

— Masz rację Balabanosiu, jednakże....

— Może go mieć na przyszłych sejmikach.

— Niechże go ma.

— Człowiek majątny, któryby mógł pokazać parę kroć czystego funduszu.

— Parę kroć! a to dosę!—zawołała Podkomorzyna—myśmy się dorabiali z Podkomorzynem, a on i tego nie miał, kiedy się zemną żenił. Ale któżto taki, mój Balabanosiu?

— Chciałbym szczerze dogodzić w tem jej woli, ale żadną miarą nie mogę—odpowiedział stary, rozkładając karty.—Mogłabyś się pani na mnie i na niego gniewać....

— Ale za cóż? mój Balabanosiu.—Którato wybila?

— Pół do ósmej....

— Dopiero pół do ósmej! Któżto taki?

— Prawdziwie, że nie mogę powiedzieć, bo się..

— Bo co....

— Bo—ale się to odkryje.

— Ale ja chcę o tem zaraz wiedzieć!

Podkomorzyna była nagle, a Balabanowicz wahając się jeszcze, rozkładał i składał karty, wykręcał perukę, wreszcie powstał, odstawił krzesło, otworzył usta i rzekł:

— Ten konkurent, o którym mowa, jestem Ja! To mówiąc upadł Podkomorzynie do nóg, która ze strachu puściła karty, porwała się, odsunęła i zawołała:

— Ty śmiałeś! To ty! ty!

— Ja—odpowiedział Balabanowicz na klęczkach—ja śmiałem!! Całe życie zbierałem fundusz, żeby go złożyć u nóg mojej dobrodziejki, z ofiarą serca i wierności długimi latami dowiedzioną, którą, która—którą....

Tu mu wątku niestalo, a Podkomorzyna przywykła do posłuszeństwa, walczyła z sobą nie wiedząc co począć.

— Jeśli mnie najnikczemniejszego sługę swego odrzucisz, pójdę i zagrzebię się na pustyni—rzekł.

— Ale na cóż na pustyni? Balabanosiu?—zmiękczona szepnęła Podkomorzyna—ale zkądże ci ta myśl przyszła?

— Karmię ją od lat dziesięciu!

— W istocie?

— To była jedna moja nadzieja.

— A ja o tem nic nie wiedziałam! Ale ty mówiłeś o parę kroć funduszu?

— Ja go mam pani....

— Zkądżeś ty to wziął?

— Z posesyi.

— Masz rację Balabanosiu! A gdzież szlachectwo?

— Ja go mam....

— Ale to być nie może....

— Mam wywód dokumentalny....

— To być nie może! to być nigdy nie może—mówiła Podkomorzyna jakby sama do siebie—ty tyle lat byłeś sługą moim.

— I zawsze niu będę, do śmierci ...

— Na cóż śmierci Balabanosiu! Ale zkąd ci taka myśl przyszła?

— Ja sam nie wiem, pani....

— Wstańże już, wstań, ludzieby mogli nadejść, nie klęcz dłużej. Cóżęś powiedział? toby całkiem pomieszało porządek, toby było nieprzyzwoitęm....

— Tyle podobnych bywało przykładów, że....

— Nigdybym się tego nie była spodziewała!—mówiła ciągle Podkomorzyna, jakby sama do siebie i zdjęła okulary, odsunęła karty, chodźla zamysłona: Balabanowicz stał jak na węglach.

— Nie chcę ja mówić za sobą—przerwał po chwili, ale przypomniałbym pani niewdzięczność tego p. Mateusza, którego warto ukarać....

— Masz rację.... jednakże! Cobyto ludzie gadali!

— Ludzieby mówili, żeś pani dobry wybór zrobiła, wyprobowanego i zaufanego człowieka, i nagrodziłaś wierne usługi....

— Powieźże mi, jak cito na myśl przyjść mogło?

— Ja sam nie wiem! ja nie wiem, ale jeżeli pani nie przyjmiesz ofiary, ja....

— Tylko mnie nie strasz Balabanosiu ...

— Ja jutro zdaję rachunki i idę....

— Dajże pokój! wszak ci to tego tak obcesowo robić nie można! Ja się muszę namyslić, ja muszę to rozważyć! prawdziwie! ktoby się to był spodziewał! No, no! już co osobliwość to osobliwość, mnie iść za mąż. Toć nietakęm ja stara i na niego. Hm! mówi, że szlachcie i z funduszem! Hm, hm, taki zawsze ludzie będą gadali! no! no, ktoby się to spodziewał!

To mówiąc siadła pomieszana Podkomorzyna, a plenipotent uczuł, że w niego duch wstępował i już dobrze wróżył sobie: pierwsze lody były złamane, zostawało rozumnie rzecz doprowadzić do końca. Ale to go nie przestraszało, znał on dobrze swoje panią i wiedział, że gdy jej da do wyboru pójść za niego, lub całkiem go porzucić, pewnie na pierwsze się zgodzi.

Tak tego wieczora przygotowawszy, następnych Balabanowicz przywiódł ją do dania sobie słowa, wystawił konieczność uczynienia sobie zapisów, wzajemnie dla oka, na krociach kradzionych, ułożył dożywocie i potajemnie wszystko gotował do ślubu. Wkrótce z indultem w kieszeni, jednego

wieczora zaczął naglić Podkomorzynę o wyznaczenie szczęśliwego końca swoim konkrom i tak ją usidlił, że zezwoliła na niezwłoczny ślub, który się odbył w sali, przy dwóch tylko zaufanych świadkach. Nazajutrz całe sąsiedztwo wiedziało niesłychaną nowinę, rozwożono ją umysłami posłańcami od domu do domu, przyjaciele Podkomorzego byli w nieopisanym oburzeniu na zuchwalca, inni śniuli się do rozpuku z nowego stadła, inni wyciągali dziwaczne wnioski, zabijając Podkomorzynę na sławie, inni jeszcze temu nie wierzyli.

Trudno wszakże było wątpić, bo Balabanowicz zmieniwszy nagle ton i sposób postępowania, ze sługi stał się panem, wniósł się do palacu, i zaczął się jak szara gęś rządzić.

Wnet Złota-Wola inną całkiem powierzchniowość przybrała, a ex-Podkomorzyna postrzegła wkrótce, że wielkie zrobiła głupstwo: ale już było po czasie. Balabanowicz zebrawszy wszystkie klucze do swojej kieszeni, pół dnia pijany, nawet do marysza swojej dobrodziejce służyć już nie chciał. Porzuciwszy posesyę, swoje konie, stadła i rezydentów przeniósł do nowego mieszkania; i jak gdyby jej na świecie nie było, zapomniał o żonie, która myślała, że się świat do góry nogami przewrócił, gdy nagle znalazła się tak małą, postradawszy swobodę i wszelakie znaczenie w domu.



BIEDNA CIOTKA.

Na kominie palił się ogień trzaskający, okna popuszczane już były sztorami, świec jeszcze nie dano, a p. Mateusz, rozciągniony na szesławu, palił fajkę spokojnie. W drugim pokoju słychać było cichy chód kobięcy, chód ostrożny, bojaźliwy, pokorny; bo i chód bywa oznaką uczuć lub charakterów, dla tych co się nad nim zastanawiać zechcą. W całym domu panowała ta posłuszna spokojność, która znamionuje przytomność surowego pana; wszyscy chodzili na palcach, mówili cicho, drzwi zamykali ostrożnie.

— Cóż tam pani tak дума? — zapytał Mateusz żony — czy nie wolnoby wiedzieć?

— Czego chcesz? — odezwała się żona z cicha — pokazując się we drzwiach drugiego pokoju.

— Chciałbym wiedzieć, jeśli wolno, nad czém pani tak дума! Zapewne o jakim nieszczęśliwym kochanku!

— Znasz mnie nadto, żebym ci potrzebowała odpowiadać na to — rzekła kobieta.

— Właśnie, że znam, to myślę, że chyba o kochanku tak długo z westchnieniami думаć można, bo pewnie nie o mnie...

— Myślałam o Bogu i o sobie...

— Co za pobożność! — śmiejąc się rzekł Mateusz i na chwilę zamilkł, a potem znowu świsnął dodając:

— Ta suknia nadto szeleszcze, zrzuc ją i włóż inną; nie cierpię tego szelestu sukni...

Anna poszła suknią odmienną. P. Mateusz ciągle leżał i fajkę palił, zaledwie usłyszał powracającą żonę, wysłał ją do kuchni, dojrząc wieczery i położył za głośne drzwi zamknięcie. Tymczasem ogień przygasnąć zaczął i ciemno robiło się w pokoju, gdy drzwi powoli skrzypiąc się otwały i ktoś ocierając nogi, wszedł...

— Któż tam! to pewno ten balwan Franciszek! —

zawołał — po jakimto wchodzisz do pokoju, nie mogłeś nóg otrzeć w ganku. Po co tu przyszedłeś?

— A ślicznieś mnie przywitał! — odezwał się głos jakiś w ciemności, który prędko poznał p. Mateusz i powstając przeproszał.

— Przepraszam cię mój Sędzio, ale tu tak ciemno! Jakże się miewasz! Hej! jest tam kto! niech podają świece! Tak dawnośmy się nie widzieli!

— Prawda, że dawno — rzekł Sędzia — a tyś już całkiem o mnie zapomnieli; pókim ci był potrzebny...

— A dajże pokój wymówkom mój Sędzio, wszakże znasz świat i ludzi! Cóż chcesz, to powszechna reguła, któż chowa na pamiątkę lupiny smacznego owocu? chyba dzieci...

Wuiesiono świece, Sędzia usiadł milczący.

— Cóż tam słyhać, stary przyjacielu?

— Przypominasz mi — odpowiedział przybyły — że do ciebie przyjechał z bardzo złą nowiną...

— Co? ze złą nowiną?

— Tak, z najgorszą jak być może...

— I ta mnie obchodzi?

— Najbardziej...

— Mówże Sędzio — zawołał przestraszony Mateusz — i nie cedź po słówku, bo to chyba dobre nowiny po kropelce dawać się powinny, a złe trzeba łykać jak lekarstwo.

— Nie mam siły powiedzieć ci o tém?

— Cóż? umarł kto? Nie bój się, ja się niczyją śmiercią nie zmartwię? Cóżto jest? nie dręczże mnie!

— Podkomorzyna... poszła za męża!

— Co! co! Za męża poszła! A toż co? to bajka! Sędzia żartuje sobie ze mnie, za kogóż? Ja tego nie pojmuję, to chyba mistyfikacja.

— Najprawdziwsza prawda — odpowiedział Sędzia spokojnie — wiem o tém od Wikarego, który za indultem ślub dawał. Wczoraj wieczór błogosławił ją i Balabano...

— Balabanowicza! Balabanowicza! tego lotra! — wrzasnął okropnie p. Mateusz! Ona poszła za tego szubienicznika! to być nie może. Któż z ciebie żartował panie Sędzio! To chyba trzeba nie znać Podkomorzynę: ona, co tak wysoko ceni przyzwoitości, miałaby pójść za swojego sługę!

— Pokazuje się, że wyżej cenila p. Balabanowicza, niż wszelkie przyzwoitości, kiedy się to stało.

W tej chwili weszła Anna, a mąż ją powitał:

— Zgadnij co ci mam powiedzieć, moja pani? Anna milczała.

— Śliczną na Boga nowinę! Śliczną, twoja ciocia zaćna, dobrała sobie parę i poszła za Balabanowicza! Witam siostrzenicę pani Ba-la-ba-no-wiczowój!!! A ślicznieżem się ożenił! ślicznie! pięćdziesiąt tysięcy nędznego posagu, żona głupia, a w dodatku połączenie z familią Ba-la-ba-no-wiczów!! Do trzysta djabłów, Sędzio, tyśto mnie w to uplątał, bodajes kark skreślił! Gdyby nie ty, jabym był nigdy się nie starał o Annę, niechby była gnita w Złotój-Woli, nie byłbym się o nią pokusił. Jeszcze rok męczył się starając o ten kawał słupa! prawdziwie, pięknie wyszedłem teraz z twojej łaski Sędzio!

Żona posłyszawszy te słowa, uciekła do drugiego pokoju, Sędzia namarszczył się i siedział, a wreszcie rzekł:

— Nie ciągnąłem za kark Waszeci.

— Aleś mi pomagał — odpowiedział Mateusz — gdyby nie ta przekłeta twoja pomoc, byłbym się

starać wolał o tę głupią poczwargę pannę Żegotównę! Kara Boża na mnie! zawiązać sobie świat i tak szkaradnie, tak głupio! To trzeba umrzeć ze wstydu!

Pan Matensz mówiąc to, przechadzał się po pokoju w największym gniewie.

— I zapewne—dodał—zapisala mu majątek?

— Tak powiadają.

— A, żebym był to mógł przewidzieć, byłbym go struł jak psa—zawołał Mateusz.—Pięknieś mnie Sędzio wykirował!

— Miałeś swoje woła....

— A kto mnie kusił, kto mi radził, kto mi pomagał? Ty panie Sędzio! Ha! potrafię się pomścić i na tym lotrze Balabanowiczu. Pierwszy raz gdzie go spotkam, każę go moim ludziom zbić kijni w pół śmierci. Ktoby się był tego spodziewał! Ona! ona! prędzejbym uwierzył, że ja zgłupieję! Ale ty siedzisz Sędzio, a tu potrzeba szukać rady, tu potrzeba mnie ratować: ty masz obowiązek.

— Cóż chcesz, żebym teraz zrobił?

— Czy ja wiem! Ale ja muszę! ja muszę się bronić, ja nie dam sobie z przed nosa porwać majątku, dla któregoś się ożenił!

— Radbym wiedzieć co poradzisz?

— Ja mu uformuję proces, ja dowiodę, że Podkomorzyna nie miała prawa rozporządzać majątkiem, że ma pomieszczone zmysły!

— Ale Podkomorzyna jest zupełnie przytomna.

— Któż przytomny takie głupstwo robi? To być nie może, ja to zburzę, ja to wywrócę! Inaczej, nacóżby się zdało moje ożenienie....

— Miejsze litość nad żoną — rzekł Sędzia—ona cię słucha!

— Ja jej to sto razy na dzień w oczy powtarzam! Dla niej to nie nowina, ja lubię być szczerym....

— Bez takiej szczerości wcaleby się obeszło....

— Sędzio, ja cię proszę o radę, ty mnie strofujesz? Sędzia wziął za czapkę i rzekł:

— Bądź zdrów!

A nim p. Mateusz miał czas go zatrzymać, on już wyszedł. Zostawiony sam sobie, samolub pasował się ze swymi myślami, przywołał żonę, żeby ją dręczyć i na nią gniew swój wyrzucić, kazał bić sługi, lajał wszystkich i całą noc przepędził w tém szaleństwie.

Biedna Anna nie wiedziała co począć, a przewidując nowe udęczenia, już tylko w modlitwach o śmierć prosiła; lecz śmierć nigdy proszona nie przychodzi. Tymczasem p. Mateusz nie tracąc nadziei zdetronizowania Balabanowicza, osadził Złotą-Wolę płatnemi szpiegami, kazał sobie donosić o położeniu nowych małżonków i wkrótce z radością dowiedział się, że Balabanowicz nie dość dobrze obchodził się z Podkomorzyną, która żalować zaczęła swego zamiężpójścia.

— Jeśli tak! to moja wygrana!—rzekł w duchu—ale poczekajmy jeszcze trochę.

Jakoż nie omylił się w rachubach; nie upłynęło wiele czasu, ciotka skarżyć się zaczęła, całe sąsiedztwo wiedziało o tém, p. Mateusz najpierw. Czekal jeszcze i doczekał się tego, że ucisk, którego biedna ex-Podkomorzyna doznawała, doszedł do najwyższego stopnia; a ona sama znosiła od pijanego męża niesłychane obelgi. Słudzy, który dosć dobrze było pod panowaniem zégara, w niebogłosy krzyżeli pod nowym panem, tém dotkliwiej uciemiężającym ich, że sam niegdyś był podwładnym i mścił się swego dawnego poniżenia.

Całe życie biedna.

P. Mateusz czekał jeszcze, i doczekał się chwili, w której jego postępowanie mogło uchodzić za bezinteresowne. Upatrzywszy porę, szukał sposobu widzenia się z ciotką, której od jej zamiężpójścia nigdzie nie mógł spotkać. bo w Złotéj-Woli zakazano mu bywać, a w Brzozówce ani Balabanowicz się nie pokazał, ani żonie tam pojechać pozwolił.

Wypadł jakoś jarmark w miasteczku poblizkiem, na który Balabanowicz dawnym swoim zwyczajem pojechał. Przewidujący wszystko p. Mateusz, nasadził tam na niego żydów i kilku szlachty, zalecając im, żeby go spolił i do dwóch dni nie wypuszczali. Gdy mu wreszcie znać dano, że już Balabanowicza nie było, on sam konno udał się z jednym tylko człowiekiem do Złotéj-Woli.

Miało się ku wieczorowi, gdy stanął u bramy ogrodu i tu porzuciwszy konia, pieszo szedł ku domowi. Znajome mu były wszystkie zakątki, łatwo więc trafił do pokoju biednej ex-Podkomorzyny.

Nie ta to była już pani Dorota, którąśmy na początku powieści widzieli. Starsza się zdawała o lat dwadzieścia, zgarbiona, wychudła, trzęsąca, suknie na niej w wieladzie, pieski ulubione powypędzane nie dotrzymywały już towarzystwa. Zamyślona, z usty sinemi i wpadłemi siedziała i patrzyła przez okno: talia brudnych kart leżała porozrzucana przed nią.

Gdy we drzwiach ukazał się p. Mateusz, nie poznała go, aż się odezwał pokornie.

— Jak się ma ciocia?

— Pan Mateusz! tu!

— Cóż dziwnego? dawnobym tu już być powinien!

— Jakto? to ty się nie gniewasz na mnie?

— Ja? a zacoż miałbym się gniewać....

— Wszakże ty chciałeś mojego majątku? czyhałeś na niego, życzyłeś mi śmierci?

— Ja! to chyba Balabanowicz mógł mówić.

— Właśnie.

— Alboż nie miał w tém swego interesu, ten niegodny zwodziciel?

— Ach! nie mówże tak o nim! to mój mąż!

— A jednak jestto najniepocziwszy człowiek. Myśmy ubolewali nad losem cioci, ale coż mogliśmy począć? I dziś z największą ostrożnością wkradłem się tu, wiedząc, że go niema w domu, dla niczego więcej, tylko, abym okazał, że nie byliśmy chciwi i niewdzięczni jak nas odmalowano. Ten człowiek zdradzał ciocię, oto są na to dowody.

Tu pan Mateusz rejestra dawno przygotowane rozłożył, na które ex-Podkomorzyna ledwie okiem rzuciła.

— Cały jego majątek—mówił dalej—jest zebrany szachrajstwem i kradzieżą. Onto jest niewdzięczny i chciwy, on ciocię przywiódł do tego poniżenia, do poczynienia sobie zapisów, do wyzucia się ze wszystkiego, myśmy o to się nie starali nigdy.

— To prawda moje serce, ale coż chcesz, on jest moim mężem!

— Ale cioeia cierpisz od niego!

— Zkądże o tém wiiesz?

— Ja wiem wszystko, wiem jak w domu pannje, jak się ze swoją dobrodziejką obchodzi! Przyszedłem nawet, abym proponował cioci przeniesienie się do naszego domu, gdzie będziesz panią, szanowaną, kochaną.

— Ale jakżeto być może?

— Skoro ciocia się na to zgodzi, dziś wieczorem konie będą przed gankiem, on jutro dopiero po-

wróci. Wiem, że zapisy, które mu poczyniła ciocia nie są w aktach, znajdują się tylko w oryginałach, w biurku przy jego łóżku, ja je zniszczę, jutro rozpoczne proces i ciocia wróci do majątku i swobody!

Biédnej ex-Podkomorzyny w głowie się kręciło słuchając tych obietnic, a myśl oswobodzenia uśmiechała się do niej. Przywykła jednak całe życie słuchać Balabanowicza, nie pojmowała, żeby co przeciw niemu uczynić było można i nie śmiała zgodzić się na przedstawienia p. Mateusza, który drżał z niespokojności.

— Ale to ci się zdaje, to być nie może! on tak jest ostrożny! — odpowiedziała.

— Ja zaręczam, że tak będzie — odpowiedział szybko p. Mateusz. Gdzie jest klucz od jego pokoju? Ciocia dająca się powodować łatwo, odurzona tonem p. Mateusza rozkazującym i przekonującym, odpowiedziała:

— On go zawsze nosi przy sobie.

— A niema drugiego podobnego?

— Ten może przyjdzie — rzekła cicho skazując na drzwi. P. Mateusz, który rad był co najprędzej wszystko ukończyć i lękał się przypadkowego powrotu Balabanowicza, pochwycił klucz z zamka i szybkim krokiem pobiegł do jego pokoju, nie zważając z jakim podziwieniem wszyscy ludzie na niego patrzali.

Klucz otworzył i p. Mateusz wpadł do przybytku starego skąpea, w którym on jeden tylko gospodarował i nikogo więcej nie puszczał. Był to najosobliwsza graciarnia. W kącie stało brudne, nieposłane łóżko, z pod którego wyglądały butelki wypróżnione i pełne, na ścianach wisiała uprzejma stara i parę strzelb popsutych. Podłoga zawalona była gratami bez nazwiska i kształtu, kilka kufrów pełnych tam i sam stało, a na nich leżały jeszcze części odzienia, skóry i żelastwo. Różnego rodzaju obuwie wałowało się po kątach i izbie: buty, pantofle, trzewiki, kalosze. Na oknach były flaszki z lekarstwami dla koni, maście, słoiki ze szrótem i prochem, snypry i podkowy polamane. W głowach łóżka stał kantorek, którego szukał p. Mateusz, i ku któremu chciwie poskoczył. Z siłą jakiejś dodaje wola, oderwał odrazu stare spróchniałe wieko, sięgnął do szufladki i pakował papiery w kieszenie a pakiet starannie w chustkę od nosa uwinęty włożył na piersi, potem zatrzasnął biuro, zamknął pokój i pospieszył do ex-Podkomorzyny, która go w największej niespokojności oczekiwała.

— Teraz — rzekł wchodząc — zapisy są w moim ręku, każę zaprzęgać i pojedziem. Zawolał na sługę.

— Cztery konie do karety, w ten moment!

Sługa się wahał.

— Słyszysz! w ten moment — krzyknął pan Mateusz — inaczej nauczę posłuszeństwa.

— Ale jakże ja mogę wyjechać? — rzekła drżąc ciotka — to być nie może!

— Chcesz ciocia męczyć się z nim i spokojnej nawet nie mieć starości, dlatego, że ten bezecny człowiek uwiódł ją, podszedł i zdradził, dlatego, że jesteś jego żoną? Maszże go szanować i być mu za to wdzięczną? Ja jestem w prawie i obowiązku oswobodzenia jej!

Tak mówiąc wyglądał niespokojnie oknem czy powóz nie zachodził, a ciotka ubierała się posłuszna w drogę, nie mając siły do oparcia się.

Nareszcie zaturlotała kareta, a p. Mateusz podał jej rękę.

— Radzę zabrać pieniądze, obligi i precyzoza — rzekł — zda się to na proces, a ten bezecnik przez zemstę, mógłby papiery poniszczyć, a resztę przywłaszczyć.

— Ja nie mam — odpowiedziała ciotka...

— Jedźmyż! — rzekł p. Mateusz, wyprowadził ją w ganek, podał rękę do karety i siadłszy już, wychylił głowę do ludzi, którzy się ciekawie zebraли byli na ganku.

— Słuchajcie moi koelhani — rzekł — pilnujcie domu, a gdy jutro przyjedzie tu p. Balabanowicz, nie dawajcie mu się tu rozporządzać z niczym i nie ztąd zabierać. Nie macie potrzeby słuchać go, taki jest rozkaz pani, nie pozwalajcie mu nie ztąd zabierać. Ruszaj! — zawolał do furmana — do Brzozówki, co konie wyskoczą, masz dukat na piwo!

Kareta zniknęła w tumanach pyłu, a zdziwiona tą nagłą przemianą służba, z rozdartymi gębami, długo stała w ganku.

— To coś nowego — rzekł Jan — ale wszakże gorzej nam nie będzie jak jest: dziej się wola Boża! No! niechże teraz Balabanosio powróci, oddam ja mu za swoje!



ZEMSTA PANA JANA.

Nazajutrz wieczorem Jan siedzący w ganku, ujrzał w lipowej ulicy bryczkę pana Balabanowicza, którą poznał po szpakowatych koniach i podniósł się z radości na ławce, a potem usiadł znowu i zażył tabaki, mówiąc do siebie:

— No! chwala Bogu: jedzie!

Już bryczka minęła bramę i zatoczyła się przed pałac, a Jan zwykle pokorny, nawet z ławki nie wstał na przyjęcie pana.

— Cóżto! — zawolał wysiadając trochę napily Balabanowicz — czemu hultaju nie wstaniesz kiedy widzisz, że przyjeżdżam? słyszysz?

— Któżto taki Waćpan jesteś, że takim tonem mówisz?

— Oszalał czy co! — krzyknął zgniewem ex-plenipotent. Hej! jest tam kto! związać go i wsadzić do ciupy! Coto jest? nikogo niema.

Spojrzał w ganek, tu stali wszyscy dworscy ale z pozakładanemi w tył rękoma i uśmiechem na ustach. Jan spokojnie zażywał tabakę i mówił powolnie.

— Ot lepiej Balabanosiu, nie udawaj pana, a zażyj tabaki!

I podał mu tabakierkę, którą ten pięścią naderżwszy, wytrącił mu z rąk. Nie pojmując co się z nim działo, Balabanowicz przywykły do posłuszeństwa, osłupiał.

— Cóż! nie znacie mnie! — zawolał — ale ja się dam wam poznać! Hej! wójt! stróżów!

Nikt nie słuchał. Balabanowicz nie wiedział co począć, obracał się, kręcił, i na dobitkę słyszał jeszcze dokoła szyderskie śmiechy służących. Oburzony chciał iść do żony, ale Jan mu drogę z flegmą zastąpił i rzekł:

— A dokądżeto idziesz?

Balabanowicz go popchnął, a ten oddał sownie.

— Gdzie jest pani? — odezwał się drżący i nieprzytomny.

— Ha! ha! — rzekł Jan — już się nie poskarżysz na nas! mądrzejszy ptasiu ją okiełznał, ale znalazł się mądrzejszy od ciebie!

— Coto jest? co on gada? cóż się stało?
 — No! no! zażyj tabaki i siadaj po staremu a nie udawaj pana, toci powiem mój gilu.
 — Niema jejmości!
 — A gdzie się podziała?
 — Pojechała do Brzozówki.
 — Do Brzozówki! I Balabanowicz porwał się za głowę. Sama! sama pojechała?
 — O! nie, z panem Mateuszem — odpowiedział Jan spokojnie.
 — A z kądże się wziął tu pan Mateusz?
 — Przyjechał i zabrał panią.
 — W imię Ojca i Syna. To być nie może, tyś pijany hultaju!
 — Znowu się zapominasz — rzekł Jan — daj pokój i nie udawaj pana. Każ sobie konie zaprzęgać i ruszaj ztąd.
 — Ja? ztąd?
 — Taki jest rozkaz pani!
 — Pani to śmiała powiedzieć! To kłamstwo, to intrygi pana Mateusza, ale ja go nauczę. Paniby mogła dać taki rozkaz!
 — A kiedy ty mogłeś panią po pijanemu lajać, kiedy ty mogłeś ją wypychać i odgrażać się bić, mogła cię ona ztąd wypędzić. Kwita byka za indyka — rzekł Jan.
 — Ale to mój majątek! to wszystko moje!
 — Fiu! fiu! jakiś mi bogaty! Kłaniam się Jaśnie Wielmożnemu Panu! A nie możnaby wiedzieć, czy to kupione, czy darowane?
 Pan Bałabanowicz nie już nie słuchając darł się przez sługi do swego pokoju, puścili go wprawdzie, ale Jan z tabakierką siedł za nim poważnie i kiwał głową.
 — Chodźcie za mną chłopcy — rzekł na innych. Wszyscy słudzy potoczyli się za Janem.
 Ex-plenipotent dopadł drżąc z gniewu, podziwiania i strachu, drzwi swojego pokoju, otworzył je i pędem pobiegł do biurka, zobaczył je odbite, papiery zabrane i zalamawszy ręce, upadł na łóżko.
 Jan, który tego wszystkiego był świadkiem, poważnie odezwał się:
 — A cóż, Bałabanosiu? nie prawdaż, że jest ktoś mądrzejszy od ciebie!
 Bałabanowicz jak zabity milczał. Jeszcze raz zerwał się, szukał po szufladkach i znowu zgrzytnął zębami ze złości.
 — No, widzisz, że nie masz tu co robić — mówił mu Jan — ruszaj sobie z Bogiem! Adieu! pisuj do mnie na Berdyczów!
 To mówiąc wyprowadzał ex-plenipotentą, który bezprzytomny wychodził z izby, a na progu jakby sobie coś przypomniał, raz jeszcze cofnął się i zaczął czegoś szukać w łóżku.
 Jan wszystko to uważał i chwycił go za rękę gdy eliował do kieszeni woreczek spory pieniędzy.
 — To moje! to moje! — wrzasnął przeraźliwie Bałabanowicz pasując się z nim — to moje!
 — Nic tu niema twojego, stary złodzieju — rzekł Jan, zapalając się — trzech groszy niema twoich!
 — Na miłość Boga! to moje! — krzyczał jakby go ze skóry odziérano skąpice, oboma rękami chwytając się woreczka.
 — Złanane go szeląga ztąd nie wyniesiesz! — odpowiedział Jan spokojnie, z pomocą sług wyrwując się mu — Jedź jak stoisz i to jeszcze łaska, że ci konie dam, bobyś powinien boso, o kiju, jak przyszedłeś, powędrować! To mówiąc, rzucił woreczek w biurko, wypchnął Bałabanowicza, drzwi

zamknął, klucz do kieszeni schował i dał znak sługom, żeby go ku gankowi skierowali.

Mimowolnie zgrzytając zębami ze złości wypędzony Bałabanowicz, pobiegł do stajni, siadł na bryczkę i wkrótce Jan zażywając tabakę w ganku, ujrzał go znowu w lipowej ulicy.

— Jedź z Bogiem a nie wracaj! — mówił — krzyżyk ci na drogę Bałabanosiu!

A słudzy radzi zemście śmieli się do rozpuku. Napuszczony stary Jan, powydawał surowe rozkazy, nakręcił zegar w sieniach i poszedł zamknawszy pokoje, rozstawiwszy wartowników, na gawędkę do kuchni, jak zwykł był czynić za spokojnych czasów od lat dwudziestu. Wkrótce tak było cicho w Złoto-Wolskim dworze, jak niegdyś za pani Podkomorzyny, i wszyscy weszli w dawne karby.



TEODOR ORDEGA.

Jak tylko p. Mateusz przywiózł ciotkę do Brzozówki, zaraz kazawszy podać świecę i poleciwszy Annie, aby ją zabawiła, pobiegł do swego pokoju, przejrzeć zabrane papiery w biurku Bałabanowicza.

Znalazł ich więcej i ważniejszych niż się spodziewał, bo nietylko zapisy Podkomorzyny, jej dożywocie na dwóch krociach męża, ale obligi jego własne, notatki dowodzące wielu kradzieży, listy, a co najdziwniej indult, za którym ślub dawał Wikary, i który powinien był odebrać do siebie. Jak tylko zobaczył go p. Mateusz, tknęło go coś, zaczął mu się z bliska przyglądać, i poznał, że był fałszowany! To było więcej niżeli mógł życzyć sobie: prędko więc pobiegł do Podkomorzyny.

— Przekonaj się pani — zawołał — jakiemu to uwierzyłaś człowiekowi! on cię całe życie oszukiwał, on jest złodziejem i fałszerzem!

— Fałszerzem!

— Tak, bo indult, za którym ślub dany, nie ważny i fałszywy! Pani nie jesteś jego żoną, zapisy niszczy, jesteś wolną i panią majątku.

— Ale to być nie może! — zawolala ciotka niedowierzając.

— To tak dalece jest prawda, że Bałabanowicz za sfalszowanie indultu może być najsrożej karany, i jeśli ja nie będę miał nad nim litości, zginie.

— Nie gubże go — odpowiedziała Podkomorzyna wstając i prosząc — i mnie wstydu przez to narobisz...

— Oto są zapisy — rzekł Mateusz — każesz mi je pani zniszczyć?

— Spal je! spal.

Wnet płonęły na kominku.

— Spal i ten indult!

— O! tego nie mogę uczynić — odpowiedział Mateusz — Bałabanowicz zechce nas procesować, a tak many go w ręku, ugoda będzie łatwa i ciocia oswobodzona zostanie od niego.

Podkomorzyna nie śmiała się już sprzeciwiać, p. Mateusz papiery pochował i zalecając żonie, aby o ciotki wygadała myślała jak najstaranniej (chodziło mu o zapisy) poszedł wypocząć.

Nazajutrz ledwie na brzask się miało, wysłał po Sędziego, który przybył z południa. Nastąpiła długa narada względem tego jak postąpić należało, lecz nie stanowczego nie zdecydowano. Pan Mateusz śmiało zabił się procesować o rozwód,

sądził zawsze, że Bałabanowicz zgodzi się na to dobrowolnie i jeszcze mu coś ze swojego funduszu ustąpić będzie musiał, broniąc się od zarzutu fałszerstwa, które, łatwo dowiedzione, zgubiłby go mogło. Mając go zupełnie w rękę czekał spokojnie, ale tego dnia jeszcze nie nie zaszło. Nazajutrz dopiero rano zjawil się znowu Sędzia, którego za pośrednika stary skąpiec uprosił. Bałabanowicz zdawał się na łaskę i żądał tylko zwrócenia indultu, przystając na rozwód i zniszczenie zapisów, domagał się wszakże zwrotu swoich obligów, listów i notatek.

Pan Mateusz ani chciał o takiej zgodzie słuchać.

— Cóżto on mnie ma za szalonego—rzekł—żebym ja mając go w rękę, darował mu? O zapisy nie proszę, bom je zniszczył, rozwód i bez pozwolenia jego stanie, cóż mi da za to, że mu nie będę dowodził fałszerstwa?

Sędzia pojechał z odpowiedzią, ale Bałabanowicz, jak każdy skąpiec, który życie całe grosz zbierał, nie mógł znieść myśli, że utraci choć cząstkę majątku. Były chwile, w których nieszczęśliwy przypuszczał raczej myśl śmierci, niż wyrzucie z piędzi, płakał, narzekał, rozpaczał, miewał chwilowe pomieszanie. Opis jego stanu bynajmniej pana Mateusza nie zmiękczył, on zinnu powiedział sobie:

— Mam go w rękę i muszę skorzystać! Byłbym głupi, gdybym tego nie uczynił. Od stu tysięcy ani grosza miéj!

Próżno Sędzia usiłował go nakłonić do zmniejszenia sumy: pan Mateusz stał przy swoim i dopiął swego. Wybrał najpewniejsze obligi, na których przelew zapisał Bałabanowicz, i dopiero wówczas zwrócił papiery i indult. Za ledwie resztki swego majątku i dowód występku dostał w ręce ex-plenipotent, wyjechał i zniknął, tak, że nikt nie mógł się nawet domyslać co się z nim stało. Proces o rozwód, na który dał przed wyjazdem konsens Bałabanowicz, poparty silnie w konsystorzu, ukończył się pomyślnie i pani Dorota powróciła żyć jak wprzód do Złotój-Woli.

Lecz przy tylu zatrudnieniach, nie miał czasu p. Mateusz wymódl zapisów na ciotce, a może mniej dbał o nie, wiedząc, że majątek i tak na żonę jego spadnie, nie lekając się już nikogo. Zyskane niegodziwie na Bałabanowicza sto tysięcy, zasiły go w interesach i wróciły mu dobry humor, który objawił się jak wprzód, w żartobliwym znęcaniu się nad żoną, zawsze równie nieszczęśliwą, opuszczoną i przykutą do jego najmniejszych kaprysów.

Gdy się to dzieje w Brzozówce, Bałabanowicz ucieka, ale nie bez myśli zemsty. Długo on szukał w głowie, długo się zastanawiał nim cień pozoru i sposób zaszkodzenia p. Mateuszowi wynalazł. Gniew dodał mu dowcipu i w końcu wyrozumował, że niema innego środka, jak odebrać mu żonę, na której całe jego majątkowe spoczywały nadzieje. Wiedział on, że zapisów nie było, rachował na to, że nie mieli dzieci, i powiedział sobie, że gdyby uoń ich do rozwodu doprowadzić, zabiłby p. Mateusza i najsrożejby się pomścił. Ukryty w bliskości, szpiegował, wywiadywał się i cały oddał się jednej myśli, jednej żądzy pomśczenia się. Przejrawszy jednak jakim sposobem mógłby zamiaru dopełnić, środków wynależć nie umiał.

Wiedział on, że anielska Anna, znosząc wiele, cierpiała bez uzalenia się, łagodnie i przyjęła ży-

cie jak było, nie przypuszczając podobieństwa przemiany na lepsze. Jednakże pojmował, iż wmieszawszy między małżeństwo trzecią jaką zręczną osobę, mógłby krokiem ku zemście postąpić, pojmował, że mąż, gdyby miał na nią podejrzenia, zaczęłby się z nią gorzej jeszcze obchodzić, że przewidziona do rozpaczki Anna mogłaby się chwycić jakiegoś środka ratunku. Stał więc na tém, że należało mu wyszukać kogoś, co by małżeństwo poróżnił: byłoto trudnem, raz, że się musiał ukrywać, powtórne, że nikogo zdatnego ku téj misji szatański nie znał. Nie tracił jednak nadziei, i z nieugiętą wolą zemsty, pieczęjąc się myślą tą, czekał pory, wyglądał człowieka; lecz próżno łamał głowę, szukał, patrzył, próbował, nikt mu się nie zdarzył: cierpliwy czekał jeszcze nie zrażając się wcale. O kilka mil od Brzozówki, ukryty wśród lasu w nędznej chacie budnika, żył tylko swoją zemstą i niekiedy z największą ostrożnością czynił wyieczki po miasteczkach, zawsze bezskuteczne, bo nie tam mógł znaleźć tego, kogo potrzebował.

Nigdyby nie mógł być dopełnić co sobie usnuł stary, gdyby nie dziwny i przyjazny mu skład okoliczności.

Kiedy pan Mateusz starał się jeszcze o Annę, wiemy, że Sędzia, wspomagając go, i chcąc fundusze jego na oko powiększyć, dał mu od siebie oblig kondyktowy na sto tysięcy złotych, pozwolił go wnieść w akta, a przy sobie dla bezpieczeństwa kwit tylko zatrzymał. Nie myślał potem zaraz skasować długu, oblatowaniem kwitu i rzecz tę jak była zostawił. Tymczasem nie wiadomo jakim przypadkiem zginał kwit, a Sędzia ufając człowiekowi, dla którego tyle czynił, wcale się o to nie troszczył. Dla jakichś jednak interesów, potrzebując znieść ten zmyślony ciężar ze swego majątku, upomniał się u pana Mateusza, aby mu kwit przed aktami zapisał, oświadczając się, że swój zgubił.

Za całą odpowiedź otrzymał ze sztyderskie słowa: — Wszakżeś mi to darował?

— Jaj—zawołał Sędzia—chybaś oszalał, wszakże mi kwit dałeś! Jakże mogłem czynić ci taki podarunek, chybabym sam chciał zostać bez kawałka chleba.

Na to wszystko odpowiedział p. Mateusz uśmiechem i zaręczeniem łaskawem, że summy poszukiwać nie będzie do jego życia.

Tak podła zdrada oburzyła Sędziego do najwyższego stopnia, nie pojmował, nie przewidywał, że mu się tak może jego ulubieniec wywdzięczyć i śmiertelną powziął ku niemu nienawiść. Rozeszła się o tém pogłoska w sąsiedztwie, ale p. Mateusz już wcale nie dbał o opinię i żartował z nią sobie. Dowiedział się w swoim ukryciu Bałabanowicz o nienawiści Sędziego ku swemu nieprzyjacielowi, i przeczuwając w nim sprzymierzeńca użytecznego, potajemnie ku niemu pospieszył.

Na widok upioru nie byłby się bardziej nastraszył Sędzia, jak ujrzawszy Bałabanowicza, który zgryzotami wynędział, siny, skurezony we dwoje, przyszedł mu rozwinąć plany swojej zemsty. Wzdragał się przyjąć je z początku Sędzia, lecz gdy Bałabanowicz zajątrzył go zręcznie, dał się nakłonić. Chodziło o zdatnego i niepodejrzanego człowieka, którego łatwiej daleko było znaleźć Sędziemu, mającemu rozległe stosunki, i nie potrzebującemu się ukrywać. Obrano jednoznacznie na kochanka Annie, a nieprzyjaciela Mateuszowi, niejakiego Teodora Ordegę, człowieka młodego, śmiałego i lubiącego, jak mówią po prostu, awantury.

Pan Teodor Ordega liczył już lat trzydzieści, spędzonych częścią w wojsku, częścią na wsi, którą tego zadłużoną posiadał nie daleko Brzozówki. Z najlepszym sercem, najlepszą głową, pełen litości a razem zawadyaka i pojedynkowicz, jedną ręką sypał jalmużnę i tracił majątek, drugą stojącym mu na drodze obcinał nosy i uszy. Nie wiem, jak się to zgadzało, ale tak było wszakże. Zbliżka mu się przypatrzwszy miał coś w postawie, charakterze, twarzy, przypominającego Don Kichota: nosił wąs zawieszisty, chudy był, wysoki, przystojny, ale przesadą jakąś nieco śmieszny. Jak prototyp lubił romanse i całe życie wzdychał do awantur miłosnych, których mieć nie mógł jak na złość. Próżno ich szukał, próżno się narażał, zawsze się to jakoś spokojnie i prozaicznie bardzo kończyło. Żadna panna nie chciała mu się dać wykraść, żadna mężatka zbalanucić, to go niemal do rozpacz przyprawiało, gdyż zmuszony był w końcu kompromitować się, szukając przebranych heroini pod skromnymi sukienkami panien służących. Byłby się już choćby najspokojniej ożenił wreszcie i rzucił oręż u stóp kochanki, ale nie trafiało mu się nic takiego, czémby się nawet nie wiele wymagając, mógł zadowolnić.

Smutny więc był los pana Teodora Ordegi, który omal, że nazad nie wszedł w służbę, coraz ją czuliej wspominając; gdy Sędzia wystawił mu nieszczęśliwą Annę w takim świetle, że uśpiona już żądza awantur na nowo z całą siłą obudziła się. Zdało mu się, że przeznaczony był do wybawienia jęj z rąk tyrana i nagrodzenia gorącą miłością nieszczęście, których w życiu doznała.

Pan Ordega zapalił się tą myślą, postanowił naprzód pozyskać jej serce, usunął sobie zabić w pojedynku męża, ożenić się i t. d. Zdawało mu się to wszystko tak łatwem, jak polknięcie hausta wódki, a co więcej tak sobie ułożył cały szereg wypadków, tak się przejął swoją bajką, iż najpewniejszy był, że się to co do joty urzeczywistnić musi. Znał on Annę i p. Mateusza, i bywał u nich, ale dotąd nigdy mu na myśl nie przyszło zakochać się w biednej; że zaś pan Teodor kochał się głową, gdy raz sobie powiedział, że się ma zakochać, uwierzył temu i był posłuszny. Właśnie p. Mateusz wyjechał był w podróż do wód morskich, które mu lekarze poradzili, na osłabienie z nadużycia pochodzące, gdy Ordega myśl zakochania się powziął i nie czekając dłużej, postanowił szukać awantur.

XLV.

OTÓŻ I MIŁOŚĆ.

Dotąd w życiu Anny nie zaświeciła miłość ani na chwilę, ona była już o niej zapomniała nawet, a jeśli kiedy przypominała jęj książka, rozmowa, to uczucie tak sławione, tak rozkoszne, tak nieodbita w życiu kobiety, zdawało jęj się zmyśleniem. Osłabiona ciąglą męczarnią nie pojmowała exaltacji nieoddzielnej od miłości, sarkazmy męża także przyczyniły się do zachwiania w niej wiary w uczucie, które on malował jęj jako bydlęcy przemijający szal nie mający w sobie nic czystego, nie szlachetnego. Rzadko nawet przychodziła jęj na myśl miłość a nigdy nie dozwoliła sobie nawet marzyć przypuścić, żeby jeszcze kochać lub kochaną być miała. Smutneto było życie tej kobiety, odczaro-

wanej na wszystkie najslodsze nadzieje, której nikt nie pocieszał, nikt nie pomógł znosić cierpienie, z którą nikt nie podzielał nawet myśli i litością męczarni.

W takiemto usposobieniu Anny zjawił się przed nią już zakochany Ordega, pełen zapалу, z poświęceniem w ustach, z mową płomienistą, z oburzeniem na postępowanie męża (o którym cały świat wiedział) ofiarując się stanąć w jęj obronie, kochać ją, i choćby zginąć za nią. Pierwsze pokazanie się tego człowieka przejęło Annę, choć usposobiona do niewiary w miłość, znalazła ją tak słodką w ustach mężczyzny, uczuła taką radość nieopisaną w sercu, że dozwoliła sobie przezuwając nowe męczarnie, spróbować nowego uczucia. I na jęj miejscu, którażby kobieta odepchnęła pierwszą miłość? Czula ona, że źle robi pozwalając się kochać, tolerując zakazane przywiązanie; lecz jakże mogła rozstać się tak prędko z tém, co pierwszy raz w życiu obiecywało jęj choć słabą nagrodę za tyle cierpienia? Z ciekawością dziecięcą, z chciwością starca, przed którym życie ucieka, Anna chwyciła się tej miłości, poddała się jęj, i wyschłe serce żądzami, gwałtownie się, bo raz pierwszy bo tak późno, przywiązało do człowieka, który odzywał się do niej nieznanemi słowy, językiem jakim tylko w marzeniach i książkach czytała. Nie widziała w tém występku Anna, postępowanie męża, jego własne nauki uniewinniały ją. Zresztą któż jęj nie przebaczy, kto nie pojmie jak koniecznem było poddanie się temu uczuciu tak nowemu, tak ciekawemu, tak niespodzianem przychodzącemu?

Ordega jak na pierwszego kochanka kobiety, która nie знаła miłości, tylko z opowiadania, był właśnie najstosowniejszy; to co w innych okolicznościach zdawałoby się w nim śmiesznem i przesadzonem, tu dowodziło tylko szczerości i zapalu. Jego postawa, twarz, mowa, noszące cechy jakiejś rycerskiej szlachetności, musiały się podobać Annie, przywykłej do szyderskiego, zimnego spojrzenia i wyżółklej twarzy egoisty. Oddana sama sobie, bez rady, bez przyjaciółki, bez najmniejszego doświadczenia, Anna przyjęła tę miłość, jak dzieci cukierki, z nietajną rozkoszą, z widoczną radością. Jeśli zdarzyło jęj się pomyśleć o przyszłości, odganiała od siebie natrętne przecucia, roila najdziwniejsze plany, żeby się przy jednej życia pociesze utrzymać. Jednem słowem łatwiej, niżej się mógł spodziewać zrazony niepowodzeniem Ordega, dała się podbić Anna, i z zamkniętymi oczyma na skutki, dozwoliła mu bywać w domu, nie bronila mieć nadziei, a podbudzona przez niego, przyszła do zwierzenia się swojego życia, swojego nieszczęścia.

To zaufanie okazane mu, silniej jeszcze podpaliło kochanka, a nowym węzłem połączyło z nim Annę: znalazła w nim bowiem przyjaciela, przyjaciółkę, których nigdy nie miała. Człowiek ten łatwo się zapalający, szczerze uczul jęj nieszczęściu i gwałtownie przywiązał się do niej. Z głowy, w której powstała miłość, przeniosła się ona do serca; i on także całe życie czekał i wyglądał wielkiego przywiązania i wyciągał ręce do wszystkich, i on był niezrozumiany, nieukochany od nikogo. Ordega wkrótce czcił Annę jak Bóstwo i wylał na nią cały zapas uczuć, przez ciąg życia w sercu nagromadzonych, a dotąd mało zużytych. Miłość jego stała się gwałtowną namiętnością, a charakter osobisty nadawał jęj ważność stanowczego wypad-

ku, za jaki mają miłość tylko ludzie szczerzy lub młodzi bardzo.

To wszystko odbyło się w ciągu kilku wizyt, które coraz częstsze, kończyły się na codziennym widywaniu. Anna nie wahała się bojąc szpiegów mężowskich, udawać przechadzki, wymykać się z domu i schodzić się z nim w ogrodzie, w lesie. — Jęj zdawało się to tak naturalnem! tak ją opanowała ta pierwsza miłość, tak ją zaślepiła na przyszłość, na skutki, na wszystko! Przyczyniał się do tego Ordęga, który, ilekroć wspominał o mężu, czynił to z niewypowiedzianą wzdrgą i lekceważeniem którym biedną Annę zaraził. I jęj się zdawało, że potrafi postawić mu się śmiało, że się go nie zleknie, nabierała sił ze swego przywiązania.

O! jakże szybko czas im upłynął, jak niesłychanie prędko uciekły miesiące naznaczone na pobyt u wód morskich, jak straszniejsza codzienność objawiała się przyszłość; jak smutniejsze jeszcze życie, cięższe stokroć do zniesienia po chwilowej przerwie cierpieniom, groziło Annie. Przeczuciwała, że ciężko odpokutować będzie musiała za to, że uczuła przecie, iż jest na ziemi choć kropelka szczęścia, choć chwila odurzenia rozkosznego; przecuciwała, że mąż dowie się o wszystkiem.

Nieraz przychodziło jęj na myśl uciec gdzieś z Ordęgą, pójść do Rzymu, paść do nóg papieża i prosić, aby ją od ślubów uwolnił. Marzyła jak dziecię! a ktoby jęj myśli podsłuchał, zaledwieby mógł uwierzyć prostocie kobiety, na którą całą szkaradą swego cynizmu, swego niedowiarstwa, oddychał zepsuty człowiek. Lecz ona zepsuć się nie mogła, bo zaraza wchodzi tylko do tych, którzy już są usposobieni do jęj przyjęcia, w których duszy jest szczelina otwarta; ona się zgorszyć nie mogła, bo nie pojmowała całkiem złego, nie było na nie miejsca w jęj anielskiem sercu.

Uczuwszy miłość Anna całkiem nowy świat ujrziała odsłaniający się przed sobą, wszystko jęj się tłumaczyło, odkrywało: pojęła życie. Dotąd ciągle cierpiąc, jedną tylko stroną rezygnacyi rozumiała wszystko co ją dotyczyło; sądziła, że to uczucie jest najważniejszem i jedynem, nieodbitem: teraz przekonała się, że tylko pomocniczem było. Łatwo biedna, uniesiona obecnem szczęściem, zapomniała przeszłości, wcielając się w terażniejszosc, dziwiła się nawet jak wprzód żyć mogła. Calkiem nowe skarby odkryła w muzyce, którą już nie jak sztukę, lecz jako tłumaczenie uczucia pojęła, całkiem inaczej widziała siebie, i pierwszy raz w życiu chciała być piękną i młodą: przekonała się, że jeszcze nią była. O! cóżto były za chwile rozkoszne, kiedy Anna z tém przejęciem się, jakie daje miłość, opisywała Ordędze swoje życie, męczarnie; kiedy mu się słodko skarżyła na niedolę, i pytała naiwnie, czy wszystkie kobiety skazane są tak cierpieć.

— Mój drogi—mówiła—od czasu mego dzieciństwa nikomu jeszcze nie zwierzyłam się poufale, nikomu szczerze się nie wylałam, nikt mnie nie chciał zrozumieć; wszyscy wsłuchieli się zemnie! A ileżto lez moich niepoliczonych noc i dzień spadało, które ciotka i mąż jak zbrodnię mi wymawiali. Pierwszych lat pobytu u ciotki zdawało mi się, że przeszedłszy z objęcia mamy, w ten zimny świat jakichś inszych ludzi, nie wyżyję, nie potrafię do niego przywyknąć; ale musiałam i cierpiąc oswoiłam się z niemi, choć ich nawzajem nie pojmowałam, jak oni tak żyć mogli? Ciotka wydała mnie za mąż, nie pytając czyli tego chcę czy nie, wiedząc nawet,

żem się lekala jak śmierci tego zameżcia, pewna, iż do męża przywyknę i że między dwoma ludźmi może być tylko różnica twarzy i postawy, nie pojmując jak Bóg dziwnie różnych ich stworzył i tak niepodobnych sobie. Nie mogłam oprzeć się ciotce, bo cóżbym była zrobiła z sobą? nie miałam się gdzie podzielić, nie miałam się do kogo udać. Mówiłam ci nieraz co mnie czekało przy mężu: niewola i łzy. A znieść co ja zniosłam, przeżyć co ja przeżyłam, kto innyby może nie potrafił: ja sama nie wiem czy drugi razby mogła. To przechodzi ludzkie pojęcie i miarę cierpliwości, jaką Bóg dał sercu kobiety.

— Czemuż—odpowiadał jęj oburzony Ordęga—nie starałaś się ulżyć sobie, nie poddając się mężowi całkowicie, walcząc z nim, opierając się jego tyranii?

— A jakżem walczyć miała? jestże czém walczyć kobiecie oddanej takiemu człowiekowi, zależącej od niego, gdy wszystka siła z jego strony, a z mojej łzy tylko były? Czémże miałam walczyć? on śmiał się z łez, śmiał się z jęku, śmiał się z mojego oburzenia, żartował z boleści, nie wierzył w żadne uczucie! Gdybym się śmiała oprzeć, byłby rozgniewany nie wiedzieć do jakich środków ohydnych się uciekł! Ty nie pojmujesz tego człowieka! A nikogo nie miałam za sobą, nikogo; sami w domu, zawsze sami; próżnobym szukała pomocy, rady: człowiek ten jak naumyślnie mnie odosobnił, żeby jeszcze łatwiej dręczył nie wstydzając się nikogo.

— O Anno moja!—wołał zapalony gniewem Ordęga—teraz masz pomocnika, masz litościwe i oddane ci serce, masz mnie na rozkazy. Ja go zmuszę do innego postępowania!

— Ty? chybabyś chciał siebie i mnie wydać! Ten człowiek tak jest podejrzliwy: on, kiedy mi jeszcze żadne przywiązanie obce na myśl nie przychodziło, sto razy mnie już o nie posądzał.

— Ja go wyzwę i zabiję!

— Ach! nie mów tego — odpowiedziała Anna—nie wiem czemu, ale żalby mi go było!

— Więc ty go kochasz?

— O nie!—mówiła naiwnie Anna—mogłażbym go kochać po tém co cierpiałam? Lecz jam mu przysięgła.

— Nieważnato była przysięga, bo wymuszona—wołał Ordęga—w oczach Boga ty jesteś wolna, same cierpienia twoje już cię ze ślubów rozwiązały!

— A jednak—śnuto odzywała się kobieta—ja z nim jeszcze tak długo, zawsze, żyć muszę. Dawniej pojmowałam to, mój drogi; lecz dziś, kiedy mi Bóg zesłał pocieszyciela, kiedy kilka dni innego życia mam w duszy, jakże ja te męczarnie zniosę! jakże ja z tym kamieniem u szyi żyć potrafię!

— Uciekaj ze mną!—wołał Ordęga!

— Dokąd?—odpowiedziała Anna pocichu—cudza żona, cudza własność; mąż dopominałby się o mnie jak o charta, którego mu skradziono, a świat nie ma wyrozumiałości na nieszczęście, świat widzi tylko pozory. Niktby nie wiedział com cierpiała, każdyby wiedział com zrobiła i każdyby mnie potępił.

— Wszakże są prawa, są sądy; możesz powiedzieć, możesz się skarżyć.

— Ja! jabym się miała odważyć mówić to przed ludźmi zimnemi i niedowierzającemi, żeby ze mnie szydzili! I Anna zakrywała twarz rękoma płacząc, a Ordęga palający gniewem, oburzeniem roil tysięcy dziwnych sposobów oswobodzenia jęj. Tak

upływały miesiące niebytności męża dla Anny, dodajmy, że mimo wszystkich pozorów miłości biednej kobiety była czysta; nigdy ją nie pokalał nawet swawolny pocałunek. Ona, nadto zrażona była cynizmem męża, żeby do swojej nowej miłości przypuściła choć jedno mniej szlachetne, cielesne jej objawienie, z którymby się łączyło przypomnienie Mateusza. Byłato więc jedna z tych namiętności platonicznych, z których starsi się śmieją, w które tylko młodzi zapaleńcy wierzą, póki świat ich nie rozbewi i nie popsuje. Ordega przy swojej miłości, miał tyle uszanowania dla Anny, że nad pocałowanie jej ręki, nie śmiał się wyśzećgo od niej domagać szczęścia. Jej cierpienia przeszłe okrywały ją w oczach jego blaskiem męczeństwa, koroną świętości, kochał w niej nie kobietę, lecz cudne zjawisko jakiegoś, o którym marzył przez sen, kochał ją sercem młodem, odrodzonym, bez żadnej żądy więcej, tylko widzenia ją szczęśliwą. Taka miłość bywa najrozkoszniejszą, lecz rzadko trwałą, dla Ordegi i Anny jaśniała ona tylko kilka miesięcy. Raz, kiedy siedzieli w ogrodzie i rozmawiali swobodnie, zaturlotało przed gankiem, Anna się porwała i pobladła, spojrzała i zawołała:

— Mój mąż przyjechał!

Potem bezprzytomna pobiegła ku domowi, a Teodor długo przeprowadziwszy ją oczyma, odszedł ze spuszczoną głową.

Zaledwie Anna z bijącym sercem i niepokonaną bojaźnią stanęła na progu domu, zwalniając kroku umyślnie, aby pół-chwilą później męża zobaczyć; ukazał się on przed nią z uśmiechem na ustach i powitał.

— Gdzieś to biegła? z kąd wracasz tak zarumieniona?

— Z ogrodu.

— A jak uważam, nie spodziewałaś się mnie? I cóż, rada jesteś mojemu przybyciu?

Anna nie miała siły na odpowiedź.

— Powróciłem na biedę!—dodał—możesz myślała, że tam już umrę! ha! powróciłem z zapasem życia! Cóżtu słyszeć? Jak się miwa pani Balabanowiczowa? Nie widziałaś się z nią? Bywał tu kto w czasie mojej niebytności?

— Nikt—odpowiedziała cicho Anna—ale tak pomieszana, że mąż od razu poznał klanstwo, zmarszczył czoło i pożałował swojej łatwowierności i zaufania.

— Jakto? nikt a nikt? I wpatrywał się w nią uparczywie, nikt!!! Będziemy to wiedzieli od sług! Zamyślony przeszedł do pokoju a Anna weszła za nim drżąc.



MIŁOŚĆ I ZEMSTA.

Balabanowicz z Sędzią uważali zdaleka postępy Ordegi i łatwo dowiedzieli się od niego o miłości Anny. Cieszył się tem Balabanowicz, ale jeszcze nie przewidywał na czém się skończy miało. Sędzia, który lepiej znał p. Mateusza, pojmował, że bez porwania Anny i namówienia jej na rozwód, na niczem się to skończy; że mąż dowiedziawszy się o wszystkiem, ściślej ją trzymać zacznie, gorzej jeszcze męczyć będzie, ale sam nigdy nawet myśli rozvodu nie przypuścił. Wiedział także, iż Podkomorzyna w przypadku gorszącej jakiejś awantury, gotowa była siostrzenicę wydziedziczyć, a pan

Mateusz dość dal dowodów zrzeczności, że się po nim spodziewać można było wyłudzenia w takim razie zapisów na jego osobę. Podkomorzyna codzień starsza i słabsza, dawała z sobą czynić co tylko chciał p. Mateusz, wszyscy słudzy jak pana go słuchali, bo byli przez niego ujęci: trudno więc było bardzo zemścić się na nim.

Sędzia jednak naradziwszy się z płodnym w wybiegi Balabanowiczem, postanowił jechać do Podkomorzyny z gotowem zapisy na imię siostrzenicy poczynionemi, wymódz podpisanie ich, uprzedzić Podkomorzynę o uciemieniu jakiego doznawała Anna od męża, prosić, aby p. Mateusza nie przyjmowała więcej, i oznajnić, że zmuszona do stanowczego kroku, Anna postanowiła zamknąć się tymczasowo w klasztorze a prosić o rozwód. To wszystko czynił Sędzia bez wiedzy Anny, pewien będąc, że gdy tym sposobem wszystko przygotuje, Ordega łatwo ją namówi do ucieczki, pokazując sposób uwolnienia się od męża i zezwolenie na to ciotki. Ponieważ zaś lękał się Sędzia, aby powód jego odwiedziny w Złotój-Woli, i jego projekta, nie doszły wprzód Mateusza, nim Anna skloniona zostanie do ucieczki, udał się naprzód do Ordegi, uprzedzić go i kazać mu mieć się na pogotowiu tegoż dnia, którego on pojedzie do Złotój-Woli.

Późno już było, gdy do wioski naszego bohatera czwalem nadjechał Sędzia, ciesząc się na widok światel w oknach, że Teodora jeszcze czuwającego zastanie; ludzie jednak spali już i ledwie się do domu dostukał. Sam pan wybiegł w szlafroku, myce, z książką w rękę i przywitał Sędziego w sieniach, z podziwieniem.

— Cóż cię tu tak późno do mnie sprowadza?—spytał.

— Twój własny interes—odpowiedział przybyły wtaczając się do pokoju, w którym wielki ogień palił się na kominię. Na stole paliła się świeca, porozrzucone były papiery, listy, poschle kwiaty, medaliony i t. d. Na ścianach angielskie ryciny Pawła i Wirginii wisiały, a poza ramy pozatykane sterowały listy jeszcze, bukiety, wieńce nieśmiertelniczek i różne pamiątki. Kilka wazonów kwiatów zieleniały na oknach, w kącie polyskiwała szpada uwinęta krepą, nad którą nieco dalej rycerskie trofeum opylone wisiało. Małeńki zegar brązowy, wyobrażający miłość w ulańskim szako, z szablą i ładownicą, pokazywał dziesiątą.

Sędzia padł znużony na kanapę.

— Każ mi dać szklankę wody—zawołał—wytehnę i zaraz ci powiem z czém do ciebie przyjechałem.

Pan Teodor pospieszył z rozkazem i niespokojny stanął przed Sędzią, który rękawem pot z czoła ocierał.

— No—rzekł Sędzia—ehceszli mieć Annę?

— Dziwne, na Boga pytanie!—odezwał się Ordega—możnaż tego nie żądać: dalbym życie!

— Możesz ją mieć i taniej! Chodzi tylko o to, aby jutro wieczorem ją wykrasć!

— To najmniejsza, ale cóż będzie dalej?—spytał niespokojnie Ordega.

— Ja to wszystko obmyśliłem, gotując się na długi wykład—rzekł Sędzia. Ten lotr Mateusz czyha tylko na jej majątek, dla niego się ożenił, dla niego żyje, wyglądając śmierci Podkomorzyny. Ona jest męczennicą w domu, najnieszczęśliwszą kobietą. Wiedząc o waszej miłości panie Teodorze, postanowiłem wam dopomóc. Jutro jadę do

Podkomorzyny z zapisami na imię siostrzenicy w kieszeni, z zapisami témbardziej nieodwołanemi, że je ułożyć kazalem formą obligów, na summe przechodzącą wartość całego majątku Podkomorzyny. Wystawię jęj los Anny, postępowanie Mateusza z nią, jęj nieszczęście, wynogę zapisy i oznajmię, że Anna będzie się domagać rozwodu, a tymczasem przeniesie się do klasztoru. Chodzi o to, żeby, gdy ja wynogę zapisy, gdy uprzedzę Podkomorzynę, p. Mateusz nie dowiedział się o tém, aż gdy żony nie będzie już w domu, inaczej pilnowałby jęj, gotówby ją zanknąć, wywieść gdzie, dopuścić się jakiej zbrodni: jestto bowiem lotr jakiego rzadko pod słońcem, którego nie nie wstrzyma, nie nie zastanowi, gdy mu chodzi o jego interes. Jutro wnoy potrzeba, żebyś miał gotowe konie, powóz, ludzi, broń na przypadek i oczekiwał mojego oznajmienia nie daleko Brzozówki. Jak tylko dam ci znać, że zapisy podpisane, że Podkomorzyna uprzedzona, potrzeba porwać Annę, bodajby przebojem: czujesz do tego odwagę?

— Ja!—zawołał Ordega, śmiejąc się—ja! a czegożbym już wart był, gdybym tego nie potrafił uczynić!

To mówiąc, poskoczył i uściskał Sędziego, porwał za szpadę i krzyknął:

— Choćby mi przyszło paść samemu, albo jego zabić!

— Lecz—rzekł Sędzia—czy Anna da się wykraść? czy da się przekonać? Może będzie się lękać, a nie wiedząc o dalszych projektach, nauczona bać się męża, nie odważy się na ten krok.

— Anna—rzekł Ordega—nie może nie żądać rozwodu, gdy jęj tylko zezwolenie ciotki i promyk nadziei pokażem, nieochybnie zezwoli!

— To warto zastanowienia—mówił Sędzia—często kobiety płaczą i narzekają na swoje życie, a gdy przyjdzie uczynić krok stanowczy, nie odważą się nań.

— Ja jęj dodam odwagi! Wreszcie nie jestto jedno z tych drobnych nieszczęść, na jakie się popolicie uskarżają kobiety, choć je bardzo dobrze znoszą, los Anny jest nie do wytrzymania. Trzeba było tego aniola, żeby zniósł to piekło!

— Jestże podobieństwo dostania się do domu? znaszże ty jego wewnętrzne rozporządzenie? Można ją porwać, nienarobiwszy bałasu i wrzawy? Czy nie trzeba by ją uprzedzić?

— Gdybyto było podobnem, bardzo by dobrze było uprzedzić ją przez kogo; lecz z drugiej strony, żeby mąż nie powziął jakich podejrzeń! W takim razie byłoby po wszystkich, i chybabyśmy ją dostali formalnem obłężeniem. Najlepiej jednak cicho, bez wrzawy, tak, aby osób nie poznano, porwanie dopełnić.

Ja na wszelki przypadek do niepoznania się zamaskuję: bo moja przytomność mogłaby szkodzić sławie Anny, tego niepokalanego aniola. Rozporządzenie domu znam dostatecznie, boin u p. Mateusza bywał przed jego weselem. Żona zajmuje teraz pokój z szklanemi drzwiami od ogrodu, ten przytyka do bawialnego, w którym nikt nie sypia, z jednej, z drugiej strony do sieni prowadzących do kancelaryi Mateusza, za którą dopiero jest jego sypialnia. Śludzy śpią w sieniach wielkich od dziedzińca, służące na drugiej stronie domu; ogród nie jest bardzo srodze oparkaniony, a furtkę wybić łatwo jednem uderzeniem nogi. Chodzi tylko o to, żeby Anna na pierwsze ukazanie się ludzi nie narobiła krzyku, i najlepiej by ją uprzedzić. Listu je-

dnak straszno pisać, straszniej posyłać, a ustnie ktoby się podjął tego poselstwa?

— Ja!—odpowiedział Sędzia po namyśle. Będę u niego zrana i tém bardziej go osłepię na to, co ma być wieczór w Złotój-Woli. Wprawdzie jesteśmy na zimno, a raczej jak najgorzej, lecz ja jestem obrażony, pojadę niby dla proponowania ugody, i znajdę chwilę jaką do pomówienia z Anną. Tak nawet lepiej będzie. Jeśli ona się zgodzi, jadę ztamtąd do ciotki, a z zapisami w kieszeni powracam tu przed nocą.

— Jakże ci odwdzięczę, przyjacielu, Opatrzności ty moja!—wolał Ordega kłękając przed nim.—Minowolnie przypominał sobie Sędzia, że temi prawie słowy przemawiał do niego niegdyś Mateusz i westchnął, myśląc—Wszysceżto tak jak on płacą!

Ordega porwał się po chwili i jakby go myśl nowa uderzyła, rzekł:

— A dadzą jęj rozwód?

— Radziłem się o to prawników—rzekł Sędzia—mamy za sobą wiele rzeczy. Nie wiem tylko czy Anna skromna i łagodna zechce, jakby powinna, wszystko coby mogła, zarzucić mężowi. Jednakże, wyszperalem ja zarzut przeciw ważności ślubu, pokrewieństwo jakieś bardzo dalekie wprawdzie między małżonkami, a najwięcej rachuję na przyjaciół i pieniądze.

— A jeśli mąż nie zezwoli na rozwód?

— To podobno nie jest koniecznym warunkiem. Zresztą potrafię go do tego przymusić. Obca jedna okoliczność może nam pomódz do tego. Wiesz historią mojego obligu danego p. Mateuszowi? Znalazłem jego kwit, ale ukrywam go, i dopiero, gdy exystencyi kwitu zaprzeczy p. Mateusz, ja z nim przyjdę i ze świadkami. Tym sposobem spodziewam się wymódz na nim rozwód, umarzając tę sprawę i nierozpościerając jęj więcej. Pokazując go podłym przywłaszczycielem, jakim jest w oczach całego świata, zabilbym go ostatecznie na opinii, o którą on nieco więcej dbać zaczyna, bo postępując w lata, zaczyna nabierać ambicji i ma ochotę piąć się do urzędów.

Długo jeszcze Sędzia naradzał się z Ordega, który zapalony myślą oswobodzenia Anny, poechnany nadzieją posiadania jęj, żwawo i śmiało zabić się do porwania. Całą noc trwały tajemnicze przygotowania, rozesłani ludzie z końmi zastawieni po traktach, przysposobione powozy, przeliczone pieniądze, obmyślane wygody dla podróży, narządzona broń na przypadek. Bałabanowicz ciesząc się tą zemstą, ofiarował swoje konie, przysłał przez Sędziego potrzebne pieniądze, postarał się pasportów dla Anny i Teodora. Po długiej naradzie postanowiono, aby jeśli się uda wykraść ją bez wrzawy, wszystko tak ułożyć, jakby ona sama uciekała z domu. Ordega powierzyłszy doprowadzenie jęj do niasta najbliższego Bałabanowiczowi, miał powrócić do domu i udawać całkiem obcego tęg sprawie. Tę ostróżność doradzała mu myśl o sławie Anny, mogącej szwankować na wykradzeniu przez młodego człowieka, w którym łatwo każdy załotnikaby poznał.

Gdy wszystko obmyślono, Sędzia spokojnie ukladł się na kanapie i kazawszy się zbudzić bardzo rano, aby miał czas odbyć wizytę w Brzozówce i stanowczą czynność w Złotój-Woli, zasnął snem sprawiedliwych, a raczej zwyciężonych.

Pan Teodor ani mógł przyłożyć głowy do poduszki, tak go jutrzejsze zajmowały wypadki.

XVI.

WSZYSTKO PRZYGOTOWANE.

— A! pan Sędzia! — zawolał Mateusz widząc go wchodzącego. — Pan Sędzia!

— Nie spodziewałeś się mnie?...

— Nie śmiałem — odpowiedział — pół szydersko, pół niespokojnie gospodarz, któremu naprzód na myśl przyszło, czy się kwit nie znalazł. Tak dawno nie miałem tego szczęścia.

— Nie kłam, proszę cię — rzekł Sędzia spokojnie — dałeś mi się poznać dostatecznie, na cóż jeszcze te ceremonie! Doświadczysz twojej wdzięczności, twojej uczciwości; nie chcę już słyszeć o nich więcej.

— Panie Sędzio!

— Miałbyś się srożyć? tego jeszcze brakowało! Przypomnij jakieś podłe mnie podszedł, coś ze mną zrobił i oszczędź sobie słów próżnych.

P. Mateusz nie wiedział co odpowiedzieć, szukał jednak w głowie, za coby mógł jakiegokolwiek tłumaczenie uczepić, ale na próżno. Sędzia usiadł i rzekł:

— Trudno, abym ci przywrócił moję przyjaźń i szacunek, nadto cię już znam panie Mateuszu; chciałbym jednak skończyć z tobą.

— Na cóż kończyć: ja się niczego nie dopominam, ja nie nie chcę....

— Jestto jeszcze laska z twojej strony? nie prawdaż? I wielka laska! Lecz ty się dziś nie dopominasz, bo ja żyję, bo nie chcesz, żebym cię tak wystawił przed sądem jak jesteś, niewdzięcznym, to mało, ale podłym złodziejem.

— Panie Sędzio!

— Obrażają cię słowa, a nie bałeś się czynku? Dziś ty mnie nie zaczepiasz, ale gdybym jutro umarł, pozwiessz pozajutro moich biednych synów i wyzujesz ich z ostatniego kawałka chleba, za to, że ich stryj podał ci rękę i pomógł: nie prawdaż?

Pan Mateusz gryzł wargi i milezał.

— Chcę więc skończyć z tobą panie Matauszu, ustępuję ci coś z twojej kradzieży i będę milezał.

— Ja nie chcę żadnej ugody i nic się nie dopominam — odpowiedział gospodarz — boli mnie tylko, żeś tak się względem mnie odmienił Sędzio.

— A ty?

— Cóż chcesz: prawdziwie, cóż ja ci robię!...

— Nie pojnowałem, żebyś potrafił jeszcze usta do tłumaczenia się otworzyć.

— Pan mnie chcesz z własnego mego domu wypędzić!

— Nic zatrzymuję cię, ale rozumiem, że przynajmniej mi pozwolisz tu odetchnąć.

— Więc ja uchodzę! — rzekł gospodarz porywając za kapelusz. Wyszedł zatrzasknąwszy drzwi za sobą, a wkrótce podano mu konia i Sędzia ujrzał go z chartami wyjeżdżającego w pole.

Tego mu potrzeba było właśnie: natychmiast więc udał się do Anny, która z bocznego pokoju całej rozmowy słuchała.

— Przybyłem tu dla ciebie — rzekł spiesźnie do niej Sędzia — nie mam chwili do stracenia. Chcesz być wolną?

— Ja, wolną? albożto być może? Cóżto jest?

— Dziś będziesz mieć zapisy od ciotki i jej zezwolenie na rozwód; dziś w nocy wyjedziesz ztąd

do klasztoru i nie wyjdiesz z niego, aż wolną od ślubów i panią swęj woli!

— Byćże może! Sędzio! jakżeto się stanie? — zawolała Anna podbiegając ku niemu — Mogłoby to być!

— Wszystko jest przygotowane przez twoich przyjaciół: ja ci pomagam. Zostaw drzwi otwarte od ogrodu. Nie mogę dłużej mówić, żeby ludzie nas nie podsłuchali, lub nie postrzegli. Bądź spokojna i czekaj! Bądź zdrowa.

Tych słów domówiwszy, a widząc z oczu Anny że się nie potrafi oprzeć nadziei oswobodzenia, pewien jej zezwolenia, wyszedł Sędzia z pokoju i nim p. Mateusz wieś minął, wyjechał ze dworu umyślnie spiesząc, aby był przez niego widzianym. Dla niepoznaki minął Złoto-Wolską drogę i za laskiem dopiero kazął zwrócić na nią i konie puścić cwałem.

XVII.

WYKRADZIONA.

W Złotój Woli panował znowu ten sam porządek, ta sama cichość jak wprzód; wróciły dawne zwyczaje: mops używał świeżego powietrza w ganuku, zegar jednostajnym gangiem przerywał tylko ciszę, Jan drzéwał z tabakierką w przedpokoju, a pani Dorota ciągnęła kabalę. Wypadki, któreśmy opisali, tak się zatarły, że świadkom ich trudno już było w nie uwierzyć. Kiedy Sędzia zjechał przed ganek, zdawało mu się, że ledwie jedna noc upłynęła od chwili, kiedy tu w interesie p. Mateusza przyjeżdżał: tak dalece wszystko było toż same.

Wysiadł i spytał o panią, Jan wprowadził go poważnie do pokoju i drzwi za nim zamknął. Pani Dorota powitała go jak starą znajomość, ze wszelką przyzwoitością i ceremoniami. Podano kawę i sucharki, bo już było po obiedzie; nowe pokolenie pieków asystowało temu, a Podkomorzyna jak dawniej nieustannie gdęrała na nie.

Przekonawszy się, że nikt ich nie podsłuchuje, Sędzia wytoczył swoje sprawę i jak mógł najwyraźniej, najjaśniej opisał zdradę p. Mateusza względem siebie, jego obchodzenie się z żoną, a nareszcie co przeciw temu uczynić zamierzał, aby Annę ocalić. Podkomorzyna słuchała z atencją, z powagą, i z tak zimną krwią, jakby nie rozumiała.

— Jednak — dodała w końcu — p. Mateusz ocalił mnie z nieszczęścia.

— Miał w tém swój własny interes — odpowiedział Sędzia — bo mu chodziło o zniszczenie zapisów, a do tego korzystając z nieszczęśliwego położenia Bałabanowicza, odarł go do koszuli.

Podkomorzyna, która zawsze miała jeszcze jakąś słabość dla swego ex-plenipotenta, bardziej się poruszyła tém przypomnieniem, niż wymownymi żalami nad losem Anny. Postrzegł to Sędzia i zrzeczenie z tego korzystał.

— Ten biedny Bałabanowicz — dodał — zostaje teraz z laski jego w największej nędzy, a jednak zawsze życzliwy dla rodziny pani Podkomorzyny, czuwa nad losem Anny i on to mnie pierwszy namówił, abym się w to wdał.

— Poczciwy Bałabanosio! — odczwała się Podkomorzyna — gdzie on jest?

— Ukrywa się niedaleko ztąd — rzekł Sędzia — oddał się bogobojności i postanowił resztę życia strawić na ustroniu na dobrych uczynkach!

Podkomorzyna coraz bardziej się rozczulała, Sędzia tymczasem docierał.

— Chodzi więc tylko—rzekł—aby pani Podkomorzyna zerwała zupełnie z p. Mateuszem i ogłosiła się za siostrzenicą.

— Poczeiwy Bałabanosin! — szeptała ze łzami pani Dorota—on to wszystko obmyślił, masz rację Sędzio!

— On tu nieochybnie zgłosi się, ale potrzeba mu drzwi zamknąć przed nosem—dodał—tymczasem zaś uprzedzając jego zdrady, potrzeba podpisać ten obligowy zapis na imię Anny. Tu wydobyl z kieszeni gotowy papier, podsunął kalamarz i pióro i zwracając rozmowę na Bałabanowicza, naglił panią Dorotę.

— Bałabanowicz—rzekł—podał mi tę radę, potrzeba, abyś to pani uczyniła, i dopomogła nam do rozwodu, na który siostrzenica pani z serca się zgodzi, bo nie wiem jak dotąd w tej niewoli wytrzymać mogła.

Oczarowana urokiem imienia Bałabanowicza, podpisała ex-Podkomorzyna i na wszystko się zgodziła; Sędzia nie posiadał się z radości, wpakował papier do kieszeni i pod pretekstem zbliżającego się wieczora, pożegnał panią Dorotę, której jeszcze kilka razy powtórzył, aby dopiero nazajutrz rano wydała rozkaz niedopuszczania p. Mateusza do siebie.

Pewien już, że reszta równie pomyślnie pójdzie, Sędzia wsiadł na bryczkę i pośpieszył oznajmić p. Teodorowi, że wszystko gotowe.

W niewypowiedzianej niespokojności oczekiwał Sędzię pan Teodor: chodził, wyglądał oknem, wysyłał ludzi na drogi, starą rozsuwał perspektywę, a gdy się zciemniło, wyprawil z pochodniami na drogę do Złotój-Woli, z tej strony spodziewając się Sędzię. Nareszcie ukazała się jego bryczka w dziedzińcu, a Teodor spotkał przybywającego na schodkach zapytaniem.

— A cóż?

— Wszystko dobrze!

— Chwałaż Bogu!

— Anna wie?

— Wié. i zgadza się na wszystko.

— Ciotka?

— Podpisała i zezwoliła.

— Więc jedziemy?

— Trzeba się tak wyrachować, abyś tam stanął, gdy się wszyscy pośpią. Jak najciszej podjedziesz pod ogród, a sam pieszo udasz się do Anny, która pewnie czekać będzie.... Jak tylko wsadzisz ją do powozu, rozkażesz jechać nie na miasteczko, ale na Gnily Bród: tam ślady znikną i dalej nie będą wiedzieli jak was gonić. Na tylnych kołach powozu uczepić trzeba wiązki chrustu, żeby na piasku ślad zacierali; inaczej pan Mateusz mógłby dogonić, i Bóg wie co by było. Przełożona Bernardynek jest uprzedzona, prosto więc odwiezie ją Bałabanowicz tam; Waćpan jutro wrócisz tak jakby z polowania i umyślnie będziesz się pokazywał w sąsiedztwie, żeby cię nie posądzano.

Pan Teodor pobiegł do zégaru.

— Pół do dziesiątej! ztąd pół mili do Brzozówki, p. Mateusz kładzie się i zasypia zwykle o dziesiątej, mamy więc jeszcze godzinę czasu!

Podano herbatę i spiskowi, dodając sobie odwagi, rozprawiali.

— Gdzież jest Bałabanowicz? — spytał Teodor.

— Czeką na pół drogi. Oddawszy Annę jemu, powrócisz.

— Dobrze. Czy ma powóz?

— Wszystko co potrzeba: zapisy uczynione Annie ja sam wniosę do akt i postaram się o przyznanie ich przed aktami przez Podkomorzyńę.

P. Teodor spoglądał niespokojnie na zegar i bałwil się pistoletami, które miał u pasa.

— P. Mateusz nie się nie domyśla?

— Sądzę, że nie wcale: zostawił mnie sam na sam z żoną, gdy go lając zaczął i pojechał na polowanie!

— Będzie miał dziś polowanie!—zawołał Ordega—a jeśli mu się zamarzy przeszkodzić,... to—i wskazał na pistolety.

— Jednakże lepiej dla Anny i dla nas, jak najostrożniej tego dopełnić—rzekł Sędzia—rzeczy mogą całkiem inny wziąć obrot, jeśli przyjdzie do wrzawy i strzałów. Daj Boże, aby się bez tego obeszło!

Do pół do dziesiątej rozprawiali tak niespokojni obaj, aż gdy miała bić wyznaczona godzina, porwał się pan Teodor, uściskał Sędzię, który wracał natychmiast do domu, rzucił się w powóz i rozkazał ruszać.

Noc była jakby namyślnie chmurna i ciemna, gęsta mgła jesienna okrywała ziemię, powietrze wilgotne i ciężkie; niekiedy wiatr powionął chłodny i upadł, a po nim znowu następowała cisza nroczyta jesieni. Zostawiony sam sobie Teodor, palił się swymi myślami; chociaż odważny, doznawał mimowolnie jakiegoś uczucia niespokojności, które go dręczyło; rad był przedź niebezpieczną czynność dopełnić; zdawało mu się raz, że powóz toczy się za powoli, że godzina wyznaczona upłynęła; to znów porwany przestrachem, którego nigdy jeszcze w życiu był nie doznał, lękał się końca, chciał go odsunąć.

Przejeżdżając las usłyszał głos puszczyków i serce mu bić zaczęło. W tym lasku schodzili się oni z Anną, przypomniali mu się te chwile niebieskie i nabrał odwagi, którą znowu tracił, myśląc o niebezpieczeństwach tej nocnej wycieczki. Wszystkie najgorsze tego wypadku następstwa stawały mu na myśli, przypuszczał śmierć swoją, śmierć męża, walkę, i t. p. Nagle powóz się zatrzymał u bramy ogrodu i Teodor wyrwany myślom, wyskoczył z niego, mimowolnie się zegnając, a zalecając ludziom jak najgłębsze milczenie. Wziawszy pistolety i szablę, wyłamał furtkę i wszedł do ogrodu. Tu zaszeleściły mu liście pod nogami i włosy stanęły kołem; nieprzytomny zbłądził w znajomym ogrodzie i zmuszony był usiąść na ławce, żeby przyjąć do siebie. Uspokoiwszy się wreszcie i rozpoznawszy gdzie się znajdował, śmieliej postąpił ku drzwiom szklannym pokoju Anny.

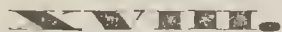
Nie było światła, a Teodor łatwo dostrzegł, że je zostawiono półotwarte. Nie widząc światła w zardnionym oknie, i zupełną spokojność wszędzie znajdując, odwiódł kurki pistoletów, uchylił drzwi i wszedł do pokoju. Drzwi zaskrzypiały przeciągłym głosem, i ktoś go pochwycił za rękę. Po szeleście sukni, po gorącym oddechu poznał Annę i spiesząc chwyciwszy ją w pół, wybiegł do ogrodu. Tu, nie przemówiwszy słowa, leciał z nią do powozu, co chwila marząc o pogoni. Zdawało mu się, że cały wiek trwała ucieczka, a każdy liść szeleszczący pod nogą przestraszał go: sto razy chwycił pistolety i chciał poza siebie strzelać.

Anna spieszyła za nim w milczeniu, zwieszona na jego rękę. Nareszcie ujrzeli furtkę i powóz: otwarły się drzwiczki, a ledwie Teodor postawił

nogę na stopniu, konie puściły się cwałem. On swobodnie odetchnął.

— Jesteś wolna—rzekł do Anny.

A Anna płakała, nie słyszała jego słów i zakrywszy twarz, jakby popełniła zbrodnią, wstydziła się spojrzeć na świat.—Biedna Anna!



KTO Z NICH LEPSZY.

Pan Mateusz spał spokojnie kiedy się to działo, lecz przebudzenie jego nazajutrz było straszną burzą; ślady truchleli ze strachu, przewrócono dom do góry nogami. Gniw p. Mateusza był nie do opisania, nie pojmował tego wypadku, nie spodziewał się go, nie umiał sobie wytłumaczyć jak się to stało, nie dorozumiewał się wcale niczyjej intrygi, nie wiedział kogo o nią posądzać. Wpół szalony latał po domu, szukał śladów, biegał za koleją powozu, ale dzięki staraniom Sędziego, w Gnilyu Brodzie kończył się ślad, i dalej nie można było wiedzieć, co się z powozem stało.

Mateusz rwał włosy na głowie, i tyle chciał razem rzeczy czynić, że zaduż dopelnić nie mógł, bo trudno mu było na jedną się zdecydować. Chciał gonić wszystkimi drogami, szukać na wszystkie strony, przychodziły mu najdziwniejsze myśli, ludzie jego mieli go za obłąkanego.

W tej rozpacz nie potrafił nawet nikogo posadzać, ani Sędziego, ani Teodora, ani się domyślił współnictwa ciotki. Skutkiem nie decyzji południe przyszło, a on jeszcze nic nie zrobił; zpoludnia udał się do Złotej-Woli i tu dopiero, gdy go do ciotki nie dopuszczono, zmiarkował, że się to stało za jej wiedzą i co go srożej jeszcze ubodło. Dowiedział się o wczorajszej bytności Sędziego, połączył ją z nakazaniem się rannym w Brzozówce, trafił nareszcie na ślad jego zemsty i pospieszył do do niego.

Sędzia prawie pewien był, że p. Mateusz do niego przyjedzie: czekał go i napawał się myślą zemsty.

Jak szalony wpadł do niego pan Mateusz.

— Gdzie jest moja żona?—zawołał.

— Twoja żona? dażesz mi ją do schowania—odpowiedział Sędzia zimno.

— Pan żartujesz ze mnie! Ja wiem o wszystkim.

— Wice powinienes zapewne wiedzieć gdzie się ona znajduje—rzekł spokojnie Sędzia.

— To twoja zemsta Sędzio! to twoja sprawa—krzyknął Mateusz—ale na całe piekło, ja się pomścić potrafię, ja się okropnie pomścę!

— A to niscij się, tylko daj mi pokój, bo nie wiem nawet co ci rozum pomieszało.

— Moja żona, moja żona uciekla... wykradła się dzisiejszej nocy... moja żona...

— Powinnato była daleko wprzód jeszcze uczynić.

— Sędzio, tyś do tego wpływał!

— A gdyby i tak było?

— Ty chcesz odzyskać swój oblig, ja wiem—dolożył Mateusz—na! oddaj mi żonę, tę niegodziwą, tę... ja ci zwracam twój zapis.

— Ja go nie potrzebuję—rzekł Sędzia zawsze z największą spokojnością—znalazłem kwit i wniozę go przed akta!

— Tak! I pan Mateusz osłupiał. Ha! więc chcesz

ugody, chcesz więcej, chcesz co ntargować. Więsz wiele warta Anna, czego chcesz odemnie, mów!

— Ja nic nie chcę od ciebie, tylko, żebyś mi dał pokój.

— Sędzio! żartujesz sobie ze mnie, ja wiem..

— Może i żartuję!—odpowiedział nieporuszony Sędzia.—Jeśli wiiesz gdzie twoja żona, idźże jej poszukaj!

Mateusz tracił głowę, ale widząc w ostatku, że nie tu nie dokaże, wybiegł z pokoju i pojechał. Nie wiedział już co dalej począć z sobą, i dusząc się z gniewu i bezsilnej złości dojeżdżał do Brzozówki, gdy obdarty chłopiec jakiś zastąpił mu drogę, niosąc karteczkę w rękę.

— Coto jest?

— List do pana.

— Kto ci go dał?

— Jakiś nieznajomy.

Przewidując, że to pismo musi mieć jakiś związek z wypadkami wczorajszymi, porwał je i rozdarł z pośpiechu pan Mateusz.

Na karteczce były te słowa:

«Życząc się widzieć z Wp. dobrodziejem w bardzo pilnym interesie, mam honor oznajmić mu, że na niego oczekuję w karczemce na trakcie, zwaną Kozia, do godziny dziesiątej wieczorem. Interes ten więcej go obchodzi niż mnie.

Najniższy sługa

G. Balabanowicz. m. p.

P. Mateusz nie pojmował jaki mógł mieć związek z wypadkami wczorajszymi, Balabanowicz, o którego nawet znajdowaniu się w sąsiedztwie nie wiedział; jednakże przecucie mówiło mu, iż ten człowiek może coś wiedzieć. Nie zsiadając więc z bryczki pędził ku Koziej karczemce, położonej o dobrą milę od Brzozówki. Późno było, gdy tam stanął i ledwie się dostukał. Wszedłszy ujrzał kogoś leżącego na stole i chrapiącego mocno.

Był to Balabanowicz.

Rozdmuchano przygasły ogień w kominie, a explenipotent, który spał ubrany, porwał się na widok p. Mateusza.

Pierwsze spojrzenia tych dwóch ludzi na siebie, były przestraszające przenikliwością: zdawali się mierzyć, nim mieli przystąpić do walki. Wreszcie pan Mateusz niecierpliwy, zawołał:

— Wpan mnie tu wezwwał?

— Tak jest.

— Jaki masz do mnie interes?

Balabanowicz bez żadnego fałszywego wstydu, rzekł:

— Pan mnie odarłeś i zgubiłeś, przywiódłeś mnie do kija i torby.

— I eóż z tego?—przerwał mu przybyły—to chodź z torbą i kijem.

— Pan mając mnie w rękę, wydarłeś mi to, na co ja całe życie pracowałem.

— Co ja całe życie kradłem.

— Jeśli kradłem to nie u niego—odpowiedział Balabanowicz—teraz ja mam go w rękę i muszę swoje odebrać.

— Jak? co? co ty mówisz?

— Mówię i powtarzam, że mam cię w rękę.

— Jakim sposobem?

— Jato postarałem się, aby ci żonę wykradziono, w moim rękę jest ona; teraz wybieraj prędko, albo mi oddaj coś wziął we dwójnasób, albo poegnaj się z żoną i majątkiem.

Pan Mateusz skoczył na Balabanowicza i chwycił go za piersi.

— Daj pokój—rzekł ex-plenipotent spokojnie—ja mam z sobą ludzi.

Pan Mateusz odskoczył, zżymając się.

— Mam z sobą ludzi — powtórzył Bałabanowicz—nie mi nie zrobisz siłą, a choćbyś mnie tu podarł na sztuki, na nieby ci się to nie zdało; bo nie powiem słowa, póki nie stanie ngoda.

— Czegóż ty chcesz?—wrzasnął p. Mateusz—czego ty chcesz stary?... gdzieś ją podział?

— Powoli — odpowiedział Bałabanowicz. O to tu naprzód chodzi, ażebyśmy zgodzili się na warunki; twoja żona jest w moim ręku i dobrém ukryciu. Staralem się, aby ci ją wykradziono, dlatego, aby odzyskać coś ty mi wydarł. Ja byłem sprężyną wszystkiego: ja namawiałem, ja pomagałem, ja nasadziłem tych co ją wykradli. Teraz albo oddasz mi nazad moje obligi i drugie tyle mi dasz jeszcze od siebie, a za to odzyszczesz żonę, to jest majątek jej, albo stracisz ją przez rozwód, który jest przygotowany. Wierz mi, gdybym był tobą, wołałbym dać jakie sto tysięcy, niż stracić uporem Złotą-Wolę, Dorotyńki i Kijany!

Pan Mateusz nie wierząc swoim uszom, nie pojmując co się z nim działo, chodził wielkim krokiem po izbie i myślał.

— A cóż mnie zapewni, że ty prawdę mówisz; że moja żona jest w istocie w twoim ręku?

— Jeśli mi nie wierzysz, to jak chcesz; ja się innym sposobem wynagrodzę — odpowiedział ex-plenipotent. Jeśli mi dasz słowo i podpiszesz, zaraz cię do żony zawiozę. Wybieraj zresztą! Samo z siebie! wybieraj!

Wahał się jeszcze Mateusz, Bałabanowicz zaś oczekiwał na pozór spokojnie skutku, którego był prawie pewnym. Stary lis dobrze się wprzód wyrachował i teraz zimno, powoli, obojętnie rzecz traktował.

— No, słowo, to i skończym—spytał po chwili.

— Zgoda! zgoda rozbójniku! — odpowiedział z gniewem Mateusz.—Zarzynaś mnie, ale cóż mam poradzić. Mówże: gdzie jest? jak się dała uprowadzić?

— Podpisz wprzód, bo ja ci nie wierzę!—rzekł ex-plenipotent.

— Nie lepiej i ja ufam tobie—odpowiedział Mateusz przebiegając okiem podane mu papiery i zżymając się—podpiszę, gdy mi żonę oddasz!

— Oho! ho! także masz mnie za fryca!—przerwał stary—podpisz tu, inaczej cię nie poprowadzę; a jeśli mi nie wierzysz, o co ja *samo* z siebie nie dbam, to schowaj papiery i nie oddawaj mi ich, aż na progu domu, w którym jest twoja żona—Zgoda?

— Zgoda! I pan Mateusz podpisał papiery szybko, zwinął i schował—Teraz jedźmy!

— Jedźmy—rzekł Bałabanowicz wkładając czapkę—konie moje stoją gotowe.

Z trudnością mógł rozpoznać p. Mateusz dokąd go wieziono, a chociaż okolice jako myśliwy nie raz zwiedził, wśród ciemnej nocy wjechawszy do lasu, po kilku zakrętach bryczki, zupełnie stracił pamięć miejsca. Noc była chmurna, las gęsty i podsztyty, ich dwóch a woźnica trzeci; dreszcz poszedł po panu Mateuszu, gdy sobie swoje położenie wytłumaczył, i znalazł się na lasce nieprzyjaciela. Wszakże nie pokazywał po sobie bojaźni i milcząc jechał dalej. Bałabanowicz milczał nie kierując furmanem, który ze swojej strony więcej się zdawał na konie spuszczać, niż na siebie; puszczał im cugle i poświstywał tylko dla przyspieszenia ich biegu.

Nakoniec p. Mateusz przerwał milczenie pytaniem:

— Dalekożto jeszcze?

— Nie bardzo—odpowiedział Bałabanowicz.

— Powiesz mi teraz jak się to stało?—dodał Mateusz.

— Teraz ci powiem—rzekł ex-plenipotent — bo to już nikomu nie zaszkodzi: mojąto sprawa i Sędziego.

— O! domyśliłem się, że Sędzia miał w tém udział, ale ja mu to oddam.

— Należał do tego i ktoś trzeci jeszcze.

— Ktoś trzeci?

— Tak, pan Teodor Ordęga, który się kochał w twojej żonie i...

— Pan Teodor? on?

— Widywali się często, kiedyś był u wód. Myśmy go tam z Sędzią popchnąć i łatwo żonę twoję zbalamucili!

— A ja o tém nie wiedziałem!—zawołał p. Mateusz.

— Samo z siebie! Myśmy go namówili, żeby ją wykradł, a z pół drogi powierzył ją mnie, sam zaś dla niepoznaki wrócił nazad! Ja ją teraz ukryłem w pewnym miejscu—to i cała historia.

Mateusz milczał, a z gniewu szarpał na sobie odzienie i rzucił się na siedzeniu. W téj chwili ukazało się rżęsiście światło między drzewy, przeglądające przez drobne szyby chaty budniczej.

— To tu?—spytał niecierpliwie Mateusz.

— Tu!—rzekł Bałabanowicz.

Zbliżyli się po cichu i wysiedli, lecz ex-plenipotent stanął na progu i zaparł mu drogę.

— Proszę o papiery.

— Masz je, masz, puszczej!—zawołał popychając go Mateusz i papiery rzucił, a sam wpadł do sieni.

Bałabanowicz schował papiery, zapiał prędko suknią i schwycił za kłanek. Otworzył nagle drzwi, przez które buchnęło światło i ciepłe powietrze, i z piekielnym śmiechem krzyknął w uszy panu Mateuszowi.

— Oto twoja żona!

Pan Mateusz stał w progu osłupiały, bo w izbie chaty widać było na tapczanie, zakrytym całunem, ciało Anny, uwinięte w bieliznę; przy niem paliły się świece, a mężczyzna jakiś klęczał i modlił się płacząc.

Byłto p. Teodor Ordęga—Anna umarła w drodze.

NIN.

SŁÓWKO JESZCZE.

Kiedy w kilka dni potem spuszczone ciało biednej Anny do mogiły, modlili się za nią obcy tylko, plakali jej nieznajomi, a ksiądz, który kilka słowami wspomniął ją u grobu, chwalił męża wysoko, że suto jej pogrzeb zapłacił, chwalił ciotkę, że ją tak zacnemu oddała obywatelowi, chwalił i chwalił wszystko, nawet szczęście, któremu tak wcześniej wydarła została! Był jednak obcy, co tego słuchał i kiedy zasypiano trumnę, odezwał się odchodząc powoli.

— Mój Bóże! wartoż się było rodzić!

Wrzesień, 1839.
Omeluo.

KONIEC.

28-
2429 / 1895

Biblioteka Raczyńskich

JIK **1996**



JIK1996